ILUZYA

ZOFIA KOWERSKA

ILUZYA

OPOWIADANIE

Z illustracyami Emila Lindemana

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1896

Antoni Seweryn Kuszkowski.
~~113~~ 80

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w Kielcach
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

271928

Дозволено Цензурою.
Варшава 9 Мая 1895 г.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Tak, pani, jestem ofiarą iluzyi. Powiem, jak się to stało, skoro pani sobie tego życzy.

Miałem już lat trzydzieści i zawód miłosny w duszy. Przeżyłem już smutną historyę uczucia, które ani na chwilę nie otrzymało sankcyi rozsądku mojego. Kochałem przez dwa lata szalenie istotę niższą mi duchem, kłamliwą i próżną, która mię, krok za krokiem, przeprowadziła przez wszystkie stacye męczącej Kalwaryi, po

przebyciu której utraca się często na zawsze zdolność kochania i wiarę w szczęście.

Ta wstydem okrywająca mi czoło tragedya moich lat najpiękniejszych uczyniła mię jednym z tych smutnych kandydatów do stanu małżeńskiego, którzy w porcie tym chcą wypocząć, pogoić rany i stworzyć rodzinę, którą to formę bytu przyzwyczajeni jesteśmy uważać za dogadzającą największej względnie liczbie naszych ideałów i potrzeb. Chciałem się ożenić, potrzebowałem się ożenić. Tkwiło we mnie pragnienie ustalenia się, zamknięcia za sobą owych drzwi wolności kawalerskiej, które śmierć tylko na nowo otworzyć może. Czułem próżnię wokoło siebie i w sobie. Trzeba

było rzucić w nią coś stanowczego, coby mi dało przynajmniej złudzenie, że zapełnioną została.

Musiałem się ożenić i na zimno ulepiłem powoli w wyobraźni mojej kobietę, jaką znaleźć chciałem. Przedewszystkiem powinna to była być żona z gatunku spokojnych. Nie czułem w sobie siły na kobietę ruchliwą, pełną zachcianek, kochającą wybuchowo, potrzebującą scen zazdrości, wyobrażającą sobie, że mąż jest od tego, by wiecznie trwał gorejący, czekający na skinienie, kwiatami uściełający drogę.

O, nie, nie! Ja potrzebowałem spokoju i nie szampańskiego wina, wysadzającego korki, ale letniej bawarki, choćby ona nieco mdłą być miała. I cóż łatwiej-

szego, jak w takim razie ożenić się wedle swoich wymagań? Wszak ja wiedziałem, że się nie zakocham, bo byłem już żużlem wypalonym przez miłość.

Oglądałem się zimno i beznamiętnie za skromną, obowiązkową a pospolitą istotą, którą chciałem przy ognisku swojem posadzić. Miała być nie ładna, miła tylko i dla oczu moich znośna. Broń Boże, nie jaskrawa! Miałem uczucie, jak gdyby mój wzrok był osłabiony i nie znosił jaskrawych barw. Niech będzie we wszystkiem szara! Bez wyraźnego smaku, jak chleb, i jak chleb dobra. Niech będzie uboga, ale nie z nędzy wyciągnięta, bo nędza daje żądze, nienawiści, zazdrości!

Ach, Boże! Tyle jest w naszym

kraju panien bez posagu, a przecie nie rozjątrzonych, nie rozgoryczonych, nie doprowadzonych do jaskrawości żadnej. Więc taką jakąś ubogą krewną czyjąś, co to się nią wysługiwano, co to nią zatykano dziury, co to ją niby traktowano jak swoją, ale pod warunkiem, że będzie pierwszą sługą. Doprawdy, przecież o taką nie trudno. Prawie w każdym domu coś podobnego się kręci. Taka nie będzie chciała miłości, a zadowolni się dobrocią...

Aha! A nuż się do niestrawności oczytywała romansami, gdy się znalazła w swojej ciupce na końcu domu? A nuż tam był jaki kuzynek, który za portyerami szukał ust ubogiej dziewczyny, znajdując w tem urozmaicenie

czasu w oczekiwaniu na posażną dziedziczkę, o której marzył? A nuż to była jedna z tych panien skromnych, której po zamążpójściu wyrastają nagle, ni z tego, ni z owego, skrzydła, pazury, czub, tupet i ogon pawi? A nuż jej skromność, jej usłużność, jej obowiązkowość, jej spokojność, były tylko zręczną formą kokieteryi?

Ah! niestety, nie będę taił przed panią, że mię moja pierwsza, nieszczęśliwa, okrywająca wstydem miłość, uczyniła okropnie podejrzliwym. Wierzyłem w cnotę kobiet, ale tych jedynie, o które starać się nie miałem zamiaru.

Gdy tylko nawiedziła mnie myśl, że dana panna mogłaby zostać moją żoną, zaczynałem ją

natychmiast krytykować. Brałem szkło powiększające, przypatrywałem jej się bacznie i zaraz przed moim wzrokiem występowały tysiące skaz, tysiące wad. Napadała mię jakaś namiętna żądza krytyki. Przyczepiałem się do drobnostek, rozbierałem każde słowo, każde spojrzenie, śledziłem myśli zmieniające wyraz twarzy, dobadywałem się zamiaru w każdym kroku, w lada poruszeniu. Dlaczego zrobiła to? Dlaczego powiedziała tamto? Wszystko w niej stawało mi się podejrzanem, krytyka zamieniła się we mnie w manię, w chorobę! I tak trwało lat kilka.

Nie pamiętam już może nawet tych wszystkich kobiecych postaci, które w wyobraźni mej

przenicowałem tak, że podszewka świeciła dziurami, brudem, łatami nędznemi. Z istoty, która, jak mi się w pierwszej chwili zdawało, mogła zostać moją żoną, stawała się pod szkłem bezlitośnem taka, którejbym za żadne skarby świata towarzyszką dozgonną uczynić nie chciał. Wchodziłem już w czwarty krzyżyk, rodzice moi się niecierpliwili, dom mój potrzebował pani, a ja żadnego stałego projektu powziąć nie byłem w stanie.

Miałem ciotkę. Ciotki bardzo często ważną rolę w życiu mężczyzny odgrywają. Ale dlaczego się pani uśmiecha? To wcale nie ciotka młoda, ładna i zalotna. Dlaczego zaraz podejrzenie, wyciągnięte z jakichś reminiscencyi

powieściowych? Zawiele, doprawdy, czytamy romansów francuskich! Ciotka Ludwika była to bardzo ruchliwa, pięćdziesięcioletnia kobiecina, nie mogąca żyć bez odgrywania roli opatrzności, bez pracowania nad czyjemś szczęściem, bez kartowania czyjejś pomyślności, bez pomagania okolicznościom, by się stały zbiegiem dogodnym. Miewała zawsze kieszenie wypchane biletami na loteryę, nosiła w pamięci listę osób, którym chciała zapewnić miejsce, posadę, żonę, męża, przytułek.

Bano się jej potrosze, ale ją lubiono. Miła, uśmiechnięta, czasem nietaktowna, mówiąca bezładnie, z logiką prawdziwie niewieścią, radząca się wszystkich, a postępująca zawsze według wła-

snego *widzi mi się*, lubiąca wiedzieć, co się w całej okolicy działo, z oczyma zapalającemi się, gdy jej opowiadano jaką plotkę, strzegąca się wszakże powtarzać ją przez miłość bliźniego — taką była ciotka Ludwika. I ta to zła dyplomatka, ta istota, której myśli zdawały się być wypisane na jej czole, ta przezroczysta ciotka Ludwika potrafiła jednak oszukać mię i złapać w samotrzask.

Była wdową bezdzietną, więcej niż zamożną. Mieszkała na wsi, w ślicznej miejscowości, w bardzo ładnym i przytulnym domu wiejskim, wśród pięknego, cienistego ogrodu. Byłem jedynym synem jej brata. Pieściła mię i obsypywała podarkami, gdy byłem dzieckiem, potem łamała nade mną ręce, gdym był gotów oddać życie całe kobiecie, która nawet kwadransa życia porządnego człowieka nie była warta. Miałem w jej domu pokój, który nigdy przez nikogo zajmowanym nie był i który zarówno ciotka, jak służba, nazywała pokojem »pana Władysława«.

Dom w Górzyskach zawsze był pełen. Rezydenci, kuzyni, kuzynki, goście, zapełniali go zwy-

kle po brzegi. Tańczono tam często, gdyż ciotka Ludwika przepadała za widokiem tańczącej młodzieży. Kilka razy do roku, obowiązkowo, musiałem tam bywać, a nawet zajmowałem się interesami ciotki. Napadała na mnie, bym się żenił, ale gdym kilka razy powiedział jej bardzo dobitnie i bardzo wyraźnie, że swaty mogły mi tylko małżeństwo obrzydzić do reszty, przestała mówić o żonie dla mnie, czytałem tylko wyraz ten w jej wzroku, a myśli wypisane na jej czole mówiły wyraźnie, że pragnęła za mojem pośrednictwem zdobyć jedną siostrzenicę więcej.

Pewnego razu, w mojej obecności, mówiła wiele o Amelce Kierwiczównie. W jej mniemaniu

był to ideał panny. Rozumna, a przytem słodka, obowiązkowa, a przytem wesoła, o silnych przekonaniach, a przytem skromna, wiele warta, a nie wymagająca. Powierzchowność? O, bardzo miła! Oczy koloru niezapominajek, zmuszające do myślenia o jakiemś niebie; uśmiech na tle ząbków białych, które tylko gryźć umiały, a nigdy kąsać; włosy ciemne, wcale nie kapryśne, posłuszne włosy osoby łagodnej... O, nie myśl tylko, że to są tłuste, oblepione, przylizane włosy dziewki wiejskiej! Wcale nie! To tylko takie włosy, które nigdy nie są rozczochrane i gdy je Amelka ułoży rano, do wieczora pozostają w porządku. Żaden kędziorek nie odstaje!

— To źle! — ozwałem się przekornie.

— Źle? — odparła żywo ciotka Ludwika. — To tylko kwestya maszynki spirytusowej i nagrzanych rurek do fryzowania!

— Ach! Nienawidzę myśli, żeby panna, której włosy się karbują, potrzebowała godzinę siedzieć przed lustrem ze szczypcami w ręku!

— Więc jakże chcesz? Każdy mężczyzna musi koniecznie być niekonsekwentny! Chciałbyś, by Amelka się nie fryzowała, a miała ufryzowane włosy!

— Nic nie chcę od ciocinej Amelki i mam błogą nadzieję, że jej nigdy w życiu nie poznam!

— Poznasz! Dlaczego nie miałbyś poznać? Ja przecie nie chcę

cię swatać, ale chciałabym ci pobyt w moim domu uprzyjemnić, wreszcie sama bardzo lubię Amelkę. Będzie w Górzyskach na moje imieniny. Radzę ci strzedz dobrze serca! Ja przynajmniej, na twojem miejscu...

— Ach! moja ciociu, prosiłem cioci...

— To też ja nie swatam bynajmniej, tylko ostrzegam! Zanadto cię kocham, bym cię nie miała ostrzedz przed niebezpieczeństwem.

— Niech tylko ciocia pamięta tej Amelki nie podawać mi z różnemi przyprawami dla zamaskowania smaku i zapachu swatowstwa. Nie chcę ani ostrego, ani miodowego sosu.

— Podam ci ją *au naturel!* Po-

sadzę ją obok ciebie przy obiedzie...

— Poprostu nie przyjadę na św. Ludwika i koniec.

Ciotka na dobre się przestraszyła. Krążyła potem koło mnie, jak gdybym był krzakiem tarniny, a ona pajęczyną, chcącą na każdym kolcu zaczepić się leciuchno, nie urażając, nie ugniatając, a jednak obmotując. Wreszcie wymyśliła jakiś interes, jakiś kontrakt, który koniecznie wymagał mej obecności w Górzyskach w sam św. Ludwik. Ulitowałem się nad kobiecinią i powiedziałem w końcu, że skoro był interes... skoro ten kontrakt...

Ściskała mię uradowana i pewna, że jej dyplomacya zażegnała wszystko.

W gruncie byłem ciekawy tej Amelki. Ha! kto wie, może te posłuszne włosy znamionowały naturę powolną, nie wybuchową, cichą, jak księżyc, a spokojną, jak woda w studni. Może te oczy koloru niezapominajek szepną mi co o niebie matrymonialnem? Zobaczymy!

Abym w niebo uwierzył, to może przestanę krytykować. Nie chcę już krytykować! Zwykle przyjeżdżałem do Górzysk w wilię imienin ciotki, tym razem postanowiłem przybyć w sam dzień. Niech Amelkę zobaczę. ubraną jasno, wśród grona innych panien. Poznam ją po owych spokojnych włosach, w których ani jeden kędziorek nie odstaje. Wierzyłem bardzo pierwszemu wra-

żeniu. Jakie też ono będzie tym razem?

Przyjechałem przed samym obiadem. Ciotkę zastałem w istnej gorączce. Widocznie poczynała już wątpić o mojem przybyciu. Zaczęła niezwłocznie prezentować mię osobom, których nie znałem, a gdy w końcu lokaj otworzył na oścież drzwi do jadalnego pokoju, oznajmiając, że waza była na stole, ciotka manewrowała tak, że się znalazłem idącym przez salon z rączką Amelki na mojem ramieniu.

— Ona jest pewno w zmowie z ciotką — przemknęło mi odrazu przez głowę. — Toć one odrazu urządzają na mnie obławę! Ta mała rączka jakoś bardzo blisko się znalazła mego ramienia,

jakoś bardzo na zawołanie, gdy ciotka chciała mi znaleźć damę do prowadzenia.

Byłem sztywny i miałem się na baczności.

Amelka zdjęła rękawiczki i poczęła jeść zupę spokojnie. W istocie, wszystko w niej było spokojne, jak jej włosy.

— Namyśla się, od czego zacząć — mówiłem sobie w duchu — bo że zacznie rozmowę i będzie się starała mnie nią zająć, na to przysięgnę.

Tak się też stało.

Amelka, zjadłszy zupę, zwróciła ku mnie swe niebieskie oczy i z wielkim spokojem rzekła:

— Bardzo byłam zadowolona, gdy pan przyjechał, ze względu na tę dobrą panią Ludwikę. Wzbu-

dzała poprostu litość swoim niepokojem. Spodziewała się pana wczoraj jeszcze.

— Pani tu już od wczoraj bawi?

— Tak, od wczoraj.

— I długo pani zostać zamierza?

— Mama kazała mi zdać się na łaskę i niełaskę pani Ludwiki.

Pani Ludwika zaś zatrzymuje mię na parę tygodni.

— O, na parę tygodni! — myślałem. — To już zamysły nie na żarty!

Głośno rzekłem:

— To Górzyska będą wesołe i gwarne! Żałuję, że mię ważne sprawy zmuszają do wyjechania zaraz jutro.

Powiedziałem to niezmiernie zimno i sztywnie. Amelka podniosła ku mnie powoli swoje oczy koloru niezapominajek i rzekła obojętnie:

— Gdybym taniec lubiła, żałowałabym, że Górzyskom ubywa tancerz, podobno bardzo dobry...

— Co? Pani tańczyć nie lubi? Jest na świecie panna, która tańczyć nie lubi?

Nagle zaśmiałem się głośno i ironicznie. Amelka obejrzała się zdziwiona. Ach! bo ona nie domyślała się, że ja wiedziałem przyczynę jej wstrętu do tańca!

Oto kilka miesięcy przedtem powiedziałem był ciotce Ludwice, pozując raczej na efekt, niż czując tak, jakem mówił: »Jestem już stary, kości mię bolą od tańca. Żebym to ja mógł dostać żonę, któraby na bale jeździć nie lubiła!«

Śmiejąc się jeszcze, rzekłem:

— To pani może balów i wieczorów tańcujących nie lubi?

— Rzeczywiście, nie lubię.

— I gdyby pani poszła za mąż za domatora, za leniwego duchem człowieka, który woli posiedzenie we własnym fotelu z książką w rę-

ku, niż bal, nigdyby pani o bal się nie upominała?

— Myślę, że nigdy — odparła spokojnie Amelka.

— Więc pani nie jest siebie pewna, tylko pani myśli, że takby było?

— Czy może kto być pewnym swoich upodobań w przyszłości? Ja, zresztą, w gruncie jestem pewna, tylko zapewniać naprzód nie lubię.

Aha! zapewniać naprzód nie lubi, bo nużby ją kiedy wzięto za słowo! Więc już tak? Więc już taka pewność złowienia mię, że już sobie naprzód szuka furtki do ucieczki, rzuciwszy mi na razie przynętę w tym rzekomym wstręcie do tańca.

— Ten mąż pani będzie, jak

widzę, szczęśliwym człowiekiem! — rzekłem ironicznie.

— Będzie szczęśliwy, jeżeli to od moich dobrych chęci będzie zależało — rzekła Amelka.

A, to już było prawdziwie bezczelne! Wszak ona poprostu szczęście mi obiecywała! Poczynała sobie zupełnie naiwnie. Nawet nie złociła pigułki, nawet nie owijała karmelka w papierek. O, ciociu, ciociu, zawsze byłaś nietaktowna i nietaktowną zostaniesz do końca! Narzucać mi dziewczynę tak wyraźnie, tak grubo! Oddawać ją mojej krytyce, jak owcę wilkowi! Nie, to przechodziło granice naiwności.

— Więc — rzekłem podniecony i ironiczny — pozostaje mi tylko pragnąć, by pani poszła za

mąż. Kula ziemska liczyłaby w takim razie jednego więcej szczęśliwego małżonka.

Spojrzała zdziwiona, zapewne nie tyle słowami, ile tonem mojego odezwania się. Zapanowało między nami milczenie. Obnoszono półmisek, sąsiad mój z lewej strony mię zagadnął. Zbyłem go lakoniczną odpowiedzią i udawałem skupienie przy spożywaniu pasztetu, żeby przeżuwać swobodnie krytykę naiwności Amelki i ciotki Ludwiki, gdy ucho moje uderzył śmiech, podobny do dźwięków srebrnego dzwonka.

Posłałem wzrok za wskazówkami słuchu i dopiero teraz spostrzegłem siedzącą z drugiej strony stołu, ale nie naprzeciwko mnie, dziewczynę bardzo młodą

widocznie, coś w rodzaju podlotka, rozwiniętą już wszakże, a ładną.

Oczy duże, czarne, prześlicznie wykrojone, szyjka biała, okrągła... Uosobienie czaru! Obok niej Bolek, daleki mój kuzynek, student drugiego kursu, będący w pełni wakacyjnego rozbawienia. Śmiały się te dzieci, aż zazdrość brała! Mimowoli słuchałem ich rozmowy. Dochodziła do mnie ury-

wana, bezładna... Bolek wmawiał tej cudnej dziewczynce, że każda panna musi zjadać albo węgiel, albo kredę, albo lak, albo ołówki.

— Widziałem sam, jak pani rujnowała piec, żeby spożyć trochę przepalonej gliny!

— Mogłabym pana pozwać o oszczerstwo do sądu gminnego! — wołała prześliczna malinowa buzia, śmiejąc się przytem dziecinnym, srebrnym śmiechem.

— A może nie widziałem, jak pani pije ocet szklankami?

— Ja panu na to odpowiem coś, co pana zupełnie pobije, zupełnie zwycięży. Ja jestem z tych wyjątkowych panien, co lubią oliwę!

— Co, doprawdy? — mówił Bolek. — Ee... to ja pani nie

oceniałem dostatecznie! To jest zupełnie osobna rasa, uszlachetniona rasa w tych pannach, które wolą oliwę, niż ocet! Oliwa idzie pannom prosto do głowy i staje się olejem. Nikt nie może potem powiedzieć o pannie, że jej brak oleju w głowie.

Cudny podlotek śmiał się znowu, jak dziecię.

— Pan ze mnie wciąż żartuje! Ale ja się nie obrażę, a jeżeli się obrażę, to mam też gotowe lekarstwo w oliwie. Obraza, to zraniona miłość własna...

— A oliwa goi rany! — przerwał Bolek. — Brawo, panno Zofio.

— Aa... naturalnie, że Zofia! — pomyślałem — Zosia! To stworzenie musi się nazywać Zosia.

Oj, ciociu, ciociu! Tej Zosi, tej wiośnie, tej róży, to mię nie prezentowałaś, a wpakowałaś mi pod ramię rękę panny płaskiej, jak jej spokojne, przylizane włosy, płaskiej, jak jej noga, bo że ma nogę płaską, na to przysięgnę i na krzyż palce położę! Ach! jakże te dzieci szczęśliwe! Co ten Bolek plecie znowu?

— Kiedy ja wiem, że tak być musi! — mówił Bolek do Zosi. — Panna, która lubi oliwę, musi mieć tem samem przyjaciółkę od serca, z którą spędza godziny całe na szeptach i nosi jej listy na sercu. Założę się, że pani ma w tej chwili taki kataplazm... Na naszym kursie były przeszłego roku dodatkowe wykłady o pannach. Ja z tego przedmiotu do-

stałem na egzaminie piątkę z plusem. Powiem pani nawet, że piątka z plusem, to mało na to, co ja umiem. Powinienem był dostać szóstkę.

— A, już wiem, już wiem! — mówiła Zosia — te wykłady, o których pan mówi, to nie były o pannach-kobietach, ale o pannach-gruszkach, albo o pannach-owadach skrzydlatych. Pan poprostu nie zrozumiał o co chodziło.

— Nie byłbym dostał piątki z plusem, gdybym nie był rozumiał. Ale niech mię pani weźmie na egzamin. Poddaję się najsroższemu egzaminowi.

— Ee, kiedy ja waszym egzaminom nie wierzę. Staś mi nieraz opowiadał, jak wy się wykrę-

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w Kielcach BIBLIOTEKA GŁÓWNA

cacie, jak wy profesorów oszukujecie, jak »ściągacie z książek«, jak piszecie sobie odpowiedzi na mankietach.

— Poddaję rewizyi moje mankiety. Ale pani ma trochę racyi. W wykładach o pannach była też mowa o pannach-motylach. To gatunek znany. A panna-gruszka, to ciocia Polcia.

Rozmawiająca para wybuchnęła śmiechem. Oboje spojrzeli ku pękatej a wyściskanej i pretensyonalnej pannie Apolonii Woleckiej.

— Pan jest okropnie złośliwy!— rzekła po chwili z przekonaniem Zosia. — Na tych dodatkowych kursach muszą was pewno uczyć złośliwości. I potem rozchodzi się po świecie tyle złości w szafirowych kołnierzach.

— Pani nigdy nie była na pensyi, nieprawdaż?

— Nigdy. Uczyłam się w domu.

— Ee... to pani nic nie może wiedzieć! Umie pani może bardzo wiele, ale nic pani nie wie. Cóż mi to za panna, co nie była na pensyi!... Na pensyach też są dodatkowe kursa...

Coś mię od pewnego czasu drażniło, coś mi dolegało, choć nie zdawałem sobie sprawy, co? W tej chwili dopiero zeznałem przed sobą, że to było niebieskie spojrzenie Amelki, które się co chwila podnosiło ku mnie. Czego ona chciała odemnie? Byłem zły na nią. Oto wzrokiem zdawała się mówić: »Czemu mnie nie bawisz? Gdy się siedzi obok panny, to ją trzeba bawić«.

Temi swojemi niememi wymaganiami przerywała mi obserwowanie Zosi i słuchanie tej niedorzecznej rozmowy dwojga dzieci, która mię bawiła.

Spojrzałem ostro na Amelkę. Spokojne jej włosy wydały mi się piórami zmokłej kury. Począłem ją nienawidzieć. Trzymała w ręku jednę z róż, któremi stół był ubrany.

— Pan lubi róże? — zapytała.

Boję się, że pani będzie zgor-

szona, ale przyrzekłem być szczerym, więc powiem, że miałem ochotę pokazać Amelce język.

— A lubię, lubię! — odparłem ze złością.

— Jakoś je pan lubi bardzo niecierpliwie — rzekła obojętnie Amelka.

— Ach! lubię róże! ach, lubię róże! — myślałem — ale takie, jak to dziewczę, którego cudna buzia śmiała się znowu. Co ten Bolek jej wyplatał?

— Gdyby pani chciała pójść za mnie — mówił — i gdybyśmy zostali mężem i żoną, tobyśmy nie mogli w żaden sposób jechać po weselu w podróż poślubną, bo jabym musiał zaraz, odszedłszy od ołtarza, oddać panią na pensyę przynajmniej na rok. Rok,

to nawet mało. Widzi pani, do stanu małżeńskiego to się trzeba dobrze przygotować. Czy pani się tak w domu trochę przygotowuje? Nie? A widzi pani! Do wszystkiego przecie trzeba przygotowania.

— Ja już je mam! — rzekła Zosia wśród srebrnego śmiechu.

— Tak? Doprawdy?

— Doprawdy. Opowiem panu, jak to było. Przeszłej niedzieli, w kościele, grzeszyłam bardzo. Józia Nolczyńska siedziała koło mnie, a ona ma coś takiego w sobie, że człowieka przy niej zawsze napada roztrzepanie. Jakoś myśl odbiegła mi od nabożeństwa. Schylona nad książką, czytałam modlitwę za rodziców i jakoś nie spostrzegłam, że dalej była mo-

dlitwa za męża i w roztargnieniu całą tę modlitwę przeczytałam. Dopiero przy ostatniem słowie spostrzegłam się, że ja się modlę o zdrowie i doskonałość chrześciańską dla mojego męża.

— O, to bardzo ważne, to bardzo stanowcze! — mówił Bolek. — Czemu mi pani odrazu tego nie powiedziała? W niebie się może przekonano, że pani się doskonale modli za męża i wyrok już zapewne zapadł, że tego męża trzeba pani dać.

— O, nie, nie! — mówiła malinowa buzia, jakby się od czegoś wypraszała — my z Józią Nolczyńską... Ale tego nie mogę powiedzieć, bo to sekret.

— Ja nikomu nie powtórzę.

Jestem tak dyskretny, co najmniej, jak Ravaillac.

— Zdrowie gospodyni domu! — zabrzmiał donośny głos jednego z sąsiadów Górzysk.

Zrobiło się zamieszanie u stołu. Amelka obok mnie podniosła się, jeden z panów z kieliszkiem w ręku zabierał się do wygłoszenia mowy, ale się jąkał, a na mnie zawsze poty biją, gdy się kto jąka, przemawiając publicznie.

Gdy się nareszcie mowa skończyła, a ja odetchnąłem, jak po wysiłku, jak po zmęczeniu, Amelka, zwyczajem nudnych panien, ozwała się, wygłaszając jednę z tych prawd, którym nikt przeczyć nie zamyśla:

— Jak też pani Ludwika kochana jest przez wszystkich!

— Płaska, płaska! — krzyczało coś we mnie — włosy płaskie, figura płaska, noga płaska, rozmowa płaska! Ciociu, ciociu, za kogo ty mnie masz!

Ach! nareszcie lody! Ileż to razy przyjęte one bywały przezemnie z westchnieniem ulgi. Za chwilę ucho moje usłyszy rozkoszny dźwięk odsuwających się krzeseł... Ale co one z Józią Nolczyńską mogły mieć za projekta? Może chcą iść do klasztoru? A, to paradne. Ten pączek róży zamknięty w klasztorze! Doskonała ta modlitwa za męża! Cóż to za rozkoszny podlotek, ta Zosia!

Jakoś tam uwolniłem się od Amelki i podążyłem do Bolka.

— Co ty tam *zawracałeś* przy obiedzie? — rzekłem, śmiejąc

się... — Podsłuchiwałem trochę twoją rozmowę z tą dziewczynką... aż mi uszy więdły. To z was dopiero dwoje dzieciaków! Cóż, powiedziała ci nakoniec, co one z Józią Nolczyńską?...

— Ale gdzietam! — odparł Bolek, śmiejąc się, jak łobuz warszawski — to przyjaciółki od serca! Jedna drugiej nie zdradzi.

— A ta Józia tu jest?

— Nie, jej rodzice nie bywają w Górzyskach.

— Zaprezentujże mnie tej swojej... z oliwą, która jej poszła prosto do głowy i z tą modlitwą za męża, która może przebiła niebiosy.

Bolek prowadził mnie przez salon prosto do czarnookiej dziewczyny.

— Pan Władysław Rownicki — prezentował poważnie. — Panna Zofia Zbroińska.

Okropnie mi się chciało śmiać. Panienka patrzała na mnie poważnie, ale mnie się czepiały pamięci rozmaite ustępy jej rozmowy z Bolkiem i byłbym chciał dziewczynkę uważać już za moją dobrą, dawną znajomą i żartować z nią i bawić się, jak gdyby mi lat dziesięć było nagle spadło z ramion.

— Wszak to będą dziś tańce w Górzyskach? — zapytałem.

— A, naturalnie! — zawołała Zosia. — Tylko, niech pan sobie wystawi, co za bieda! Będą grać do tańca żydzi, a dziś sobota. Przyjadą z Lublina dopiero po

szabasie. Tańce rozpoczną się zaledwie około dziesiątej.

— Ach, Boże! Doprawdy? To prawdziwa szkoda!

Byłem zupełnie szczery. Pałałem poprostu żądzą, by się Zosia wytańcowała. Tak, tak, tańca dla tych nóżek! Cukierków dla tej buzi!...

— Przecież się w towarzystwie znajdzie ktoś, co zagra na fortepianie — rzekłem. — Ofiaruję się naprzykład ja.

— To doskonale! Pan jest bardzo dobry!

— Dziękuję za uznanie. Ale skąd pani wie, żem dobry?

— Bo to trzeba prawdziwego poświęcenia! Siedzieć przy fortepianie i grać, gdy inni tańczą...

— Nie jestem taki znowu bar-

dzo dobry. Zaraz wymagam zapłaty. Czy mogę panią prosić do pierwszego mazura?

— Pan Bolesław mię prosił, ale mu powiedziałam, tak, na żarty, że z nim tańczyć nie chcę, bo przez cały czas obiadu był nieznośny.

— Dam sobie radę z Bolkiem, byle pani ze mną tańczyć chciała. Niech pani wybiera tego z nas, którego pani woli.

— Pana Bolesława znam lepiej...

— To znaczy, że go pani woli?

— Dawnych znajomych zawsze się lepiej...

— Niech więc pani tańczy z Bolkiem — rzekłem z urazą, lecz zaraz potem zawołałem w duchu:

— Święte, szczere dziecię! Tak, ona woli Bolka, to bardzo natu-

ralne! Ona o tem nie myśli, że Bolek ma sześcioro rodzeństwa i prawie żadnej fortuny, a ja jestem jedynakiem i już dziś właścicielem kilku folwarków.

Dźwięcząca w mym głosie uraza widocznie ją przestraszyła.

— Nie jestem zamówiona do drugiego mazura — rzekła, jak gdyby mnie przebłagać chciała — może pan chce drugiego mazura tańczyć ze mną?

Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć, gdy ciągnąca mię za ramię ciotka Ludwika przerwała mi:

— Mój Władeczku, czy to o mazura chodzi? Ja dla ciebie zamówiłam danserkę.

I wziąwszy moje ramię, odprowadziła mię od Zosi.

— Z kimże to mam tańczyć — zapytałem opryskliwie.

— Z Amelką Kierwiczówną. Ona nie lubi tańca, ale mazura tańczy prześlicznie. Mówię ci, płynie, jak woda, bez podskakiwania. No, wprost idealnie!

— Wcale nie będę tańczył pierwszego mazura!

— Ależ, mój Władziu...

Przerwałem ciotce niecierpliwie:

— Dlaczego mnie ciocia nie prezentowała pannie Zofii Zbrońskiej?

— Ej, co tam, taki dzieciak!

— Dzieciak? Ileż ona ma lat?

— Ośmnaście, ale ma starsze siostry... Jednem słowem, to towarzystwo dla Bolka, nie dla ciebie. Takie to jeszcze postrzelone, takie niewyrobione, przytem ży-

we srebro dziewczyna. Mówię ci, że nie znalazłbyś żadnej przyjemności. Mój Władeczku, tańcz pierwszego mazura z Amelką! Ja już przyrzekłam za ciebie.

Ruszyłem ramionami.

— Cóż mam robić? — rzekłem. — Widzę, że to do szczęścia cioci potrzebne, więc ulegam. Ale gdzie mię ciocia prowadzi?

— Chodź-że do Amelki!

— O, co to, to nie! Odbędę pańszczyznę mazurową, ale żebym miał jeszcze rozmawiać... Za stary jestem na rozmowę z pannami. To dobre dla takich Bolków!

— Więc gdzież chcesz iść?

— Nie skończyłem jeszcze mego zatargu z panną Zbroińską.

— Cóż tam za zatarg? Może ja to załatwię? Mówię ci, że w ro-

zmowie z tą dziewczyną nie znajdziesz żadnej przyjemności. Powiem ci tak, między nami: to jeszcze okropnie głupie!

— Moja ciociu... ośmnaście lat...

— Bywają i w ośmnastu latach myślące dziewczyny. Amelka w jej wieku była tak rozsądna, jak jest dziś. Ale to, to jakieś postrzelone stworzenie!

Aha! Ciotka Ludwika bała się, bym się Zosią nie zajął, na czem musiałby ucierpieć jej projekt co do podsunięcia mi Amelki.

— Może postrzelona, ale bardzo ładna — ozwałem się. — Że też ja nie słyszałem, że między pannami Zbroińskiemi jest jedna, wcale do ludzi podobna.

— Nie do ludzi, ale do dzieci. Cóż w niej zresztą ładnego? Mój

Władziu, gdzie ty masz oczy? Małe to, nie ma postawy, nie ma spokoju w ruchach.

— Może ciocia ma słuszność, ale żeby to uznać, trzeba mi się bliżej tej dziewczynie przypatrzeć.

— Mówię ci, że nie znajdziesz żadnej przyjemności.

Na szczęście, wezwano ciotkę. Jakiś spóźniony gość wchodził do salonu.

— Zobaczę, czy nie znajdę żadnej przyjemności — myślałem, zdążając ku Zosi.

Już samo to dążenie ku niej sprawiało mi niewymowną przyjemność. Myślałem z rozkoszą, że na jej koralowe usteczka wywołam uśmiech, że usłyszę srebrną gamę, którą się objawiała jej wesołość. Boże! Jakie też to

bywają ładne stworzenia na świecie!

Usiadłem koło niej. Poprostu odesłałem Bolka pod pierwszym lepszym pretekstem, a sam usiadłem. Począłem jej wmawiać, że znam doskonale i oddawna Józię Nolczyńską, że od niej wiem, iż są przyjaciółkami od serca...

— Dlaczego Józia nigdy mi o panu nie mówiła?

— Cóż tam mówić o takiej mizernej figurze, jak ja? Ale panna Józefa zaszczycała mnie swojem zaufaniem.

— To pan ją pewno poznał, gdy przeszłej zimy bawiła w Warszawie...

— Właśnie. Zwierzyła mi nawet pewną tajemnicę...

— Jaką? Ja wszystkie jej tajemnice znam.

— Wiem, jakiście panie ślub zrobiły co do małżeństwa.

— Co? Ona to panu powiedziała? To nie może być! Myśmy sobie dały słowo, że nie powiemy nikomu.

— Skądżebym wiedział?

— Prawda! Ale ja nie mogę uwierzyć. To byłaby okropna zdrada!

— »Rzadki jest wierny przyjaciel!« Wiem to od czasów, gdym to w dzieciństwie po dziesięć razy pisał na jednej stronnicy kajetu kaligrafii.

— I ja to pisywałam!

— A jednak pani się tem nie przejęła.

— Nie, nie! Ja temu wierzyć

nie mogę. Józia nie zdolna jest do zdrady!

— A jednak ja wiem.

— Cóż pan wie?

— Żeście panie postanowiły nie iść za mąż...

Zosia załamała ręce z prawdziwą rozpaczą.

— Mój Boże! — mówiła z żalem — więc doprawdy nikomu wierzyć nie można, nikomu! Nawet przyjaciółce od serca! Ja Józi tak ufałam!...

Biedne dziecko było naprawdę zmartwione. Wesołe przed chwilą, czarne oczy stały się naraz takie smutne, że aż mi się chciało przygarnąć to stworzenie do piersi i na pociechę w oczęta po kolei pocałować.

— Ach! ta Józia, ta Józia! To

nic, że naszą tajemnicę wydała. Cóż to komu szkodzi, że my za mąż iść nie chcemy i że będziemy razem mieszkać i wychowywać sieroty; ale to okropność, że ona powiedziała to panu i nawet mi się do tego nie przyznała, nawet nie widziałam w niej żalu! To okropność, że ona do końca udawała, że tajemnicy przed nikim nie zdradziła!

Wyznałem jej w końcu, że to ja skłamałem, żem ją podszedł. Gniewała się, ale w końcu się ułagodziła.

— Aa, chwała Bogu! — mówiła. — To, że pan mię zdradził, to nic! Przecie ja pana widzę po raz pierwszy w życiu! Ale coby to było dla mnie, gdyby mię była

zdradziła Józia! Jabym chyba była dziś nie tańczyła wcale!

Czułem, że byłbym poprostu zbrodniarzem, gdybym ją był tańca dnia tego pozbawił.

— Doprawdy? — rzekłem — pani byłaby to tak bardzo odczuła?

— Bo pan nie wie, jak my się z Józią kochamy!

— Władziu, Władziu!

To mnie znowu ciotka wołała. Widocznie znieść nie mogła, że ja koło Zosi siedziałem.

— Mój Władeczku, przypomniałam sobie... wczoraj obiecałam Amelce, że ty jej wytłómaczysz, co to jest zodyak. Ja tego nie pamiętam, a może nigdy nie wiedziałam. Czytałam nieraz, że słońce wstępuje w znak ryb, albo

w znak lwa, ale dlaczego słońce to robi i co mu po tych rybach, z tego wcale nie zdaję sobie sprawy. I jakoś mi z tem dobrze, ale ta kochaneczka wczoraj się dopytywała... Prawda, Władeczku, że ty wiesz, co to jest zodyak?

Taki miałem wstręt do pozostawania przy Amelce, żem się wykręcił.

— Wiem, co zodyak, ale widzi ciocia... tego się pannom nie mówi... mianowicie o koziorożcu!..

Ciotka wzięła to za dobrą monetę.

— A, to ja tego nie wiedziałam! Dobrze, że mi powiedziałeś!

— Zresztą, ja muszę grać do tańca. Obiecałem zastąpić orkiestrę.

Siadłem do fortepianu i zagrałem walca.

Zaczęły się tańce, a ja, oczy od klawiszy odwracając, śledziłem, gdzie fruwała sukienka koloru śmietanki, sukienka czarnookiej dziewczyny.

O, ten Bolek! Wciąż go tylko widziałem obok Zosi. I znowu się śmieli! Może ze mnie? Smutna jest rola tapera na wieczorze, ale przecie przez samą wdzięczność...

Nareszcie zjawiła się muzyka. W samą porę, bo choć udawałem, że mnie taniec już męczy i choć zwykle na wieczorach uciekałem do męskich pokojów, teraz tak mi się chciało jednego tura walca z Zosią, że byłbym się czuł nieszczęśliwym, gdybym

go był nie dostał. Szepnąłem orkiestrze: »walca!« — pobiegłem ku Zosi i za chwilę miałem w mojem objęciu stanik sukienki koloru śmietanki.

Mówię pani najsumienniej, że w tej chwili nie miałem bynajmniej lat trzydziestu jeden, ale miałem ich znowu dwadzieścia. Czułem, że mię taniec nie męczy, że walc to była genialna instytucya. Bo niech sobie mówią, co chcą! Opasać ramieniem kibić uroczej dziewczyny, mieć jej główkę blisko swej piersi i zawrócić sobie głowę nią i wirem tańca, to rozkosz! Czułem też, że mi się głowa zawraca na dobre, że malinowa buzia nawpół otwarta, oddychająca spiesznie, pociąga moje usta, że mi się chce sze-

pnąć: »Zosiu!« Całe szczęście, że byłem dobrze wychowanym i zupełnie dystyngowanym młodzieńcem. Odprowadziłem moją danserkę, która zmęczona mówiła:

— Pan jeszcze lepiej tańczy, niż gra walca!

Nadbiegał Bolek, zaczynano mazura. Poczułem się smutny i jakby złapany. Trzeba było iść do Amelki.

Cały czas mazura spełniałem obowiązki, zaciągnięte względem niej, a uciekałem co chwila do Zosi, jak mąż niewierny, zachowujący wszakże pozory dobrego pożycia. A zazdrościłem Bolkowi!

Nie będę pani opisywał mojego drugiego mazura. Przeszedł mi on, jak sen. Rozmawialiśmy z Zosią o rzeczach poważnych,

o książkach, które czytała. Tej byłbym najchętniej wytłómaczył zodyak i ryby, w których znak słońce wstępuje!

Ach! jakiż to był umysł żywy, jakie odczuwanie subtelne a własne, nie pożyczane! Miała takie odezwania się, takie uwagi, takie spostrzeżenia, jakiemi to czasem dzieci zdumiewają starszych. Coś w tej duszy było takiego, czego jeszcze ziemskie brudy nie dotknęły i to znać było w każdem słowie dziewczyny.

Z nią mówiąc, dopiero wątpić przestałem, że każda dusza była naprzód aniołem w niebie, a potem dostawała się do piersi nowonarodzonego dziecka. Zapytałem Zosi, skąd im, przyjaciółkom od serca, przyszło na myśl wy-

rzekać się małżeństwa? Skorom ją tak podszedł niegodziwie i dowiedziałem się o zamiarze, więc mogła powiedzieć, skąd się wziął.

Oto, jak się rzecz miała. Siostra ogrodnika, służącego u rodziców Zosi, umarła z suchot, zostawiając dwie małe dziewczynki. Że już ojca nie miały, więc pozostały zupełnemi sierotami. Nikt ich wziąć nie chciał, ogrodnik nie mógł ich wypędzić, więc zostały przy nim. O tem wszystkiem Zosia dowiedziała się dopiero, gdy raz, przechodząc, widziała ogrodnikową, znęcającą się nad dziewczynkami. Kobieta była w złości strasznej. Krzyczała, że pozabija, bo to darmozjady. Tę kroplę mleka, co wydoi, to musi swoim od ust odjąć, a tym obcym

Antoni Seweryn Kuszkowski. 80

dać. I biła dziewczynki, katowała je bez miłosierdzia. Scena ta takie na Zosi zrobiła wrażenie, że postanowiła choć kilkoro dzieci przez życie z takich katuszy uwolnić.

— Doprawdy! — mówiła, zażalone oczy czarne ku mnie podnosząc — kiedy jest tyle sierot na świecie, więc powinny być osoby, coby takie dzieci zbierały i wychowywały. Józia tak samo myśli.

Skończył się mazur. Ciotka Ludwika tak widocznie była zdesperowana mojem ciągłem uciekaniem po za krzesło Zosi, że mię chciała koniecznie wyłowić z tej toni, w której pogrążałem się coraz głębiej.

— Mój Władeczku! — szepnęła,

zbliżając się do mnie i biorąc moje ramię do przejścia się po salonie — ja naturalnie udaję przed moimi gośćmi, że im dłużej mi dziś spać nie dadzą, tem mi będzie przyjemniej, ale ciebie proszę, żebyś tam jakoś wpłynął, by się tańce wcześniej skończyły. Jestem zmęczona, a ledwie parę godzin będę mogła być w łóżku.

— Dlaczego? Będziemy wszyscy spać długo.

— Oprócz mnie i Zosi Zbroińskiej.

— Cóż panie będziecie robiły?

— Muszę odwieźć Zosię. Przyrzekłam jej matce, że dziewczynę sama odwiozę. Zabrałam ją, bo się bałam, że danserek brakować będzie, ale pokazało się, że była niepotrzebna.

— Koniecznie, zaraz, odwieźć ją ciocia musi?

— Tak, przyrzekłam jej matce...

— Przyrzekła ciocia, że dziś jeszcze?...

— No, nie, ale wolę zaraz zrobić to, co mam zrobić!

Poczułem się naraz siostrzeńcem niezmiernie czułym o zdrowie ciotki.

— Ja na to nie pozwolę! — zawołałem — poprostu nie pozwolę! Ciocia zmęczona, niewyspana, ma zaraz jutro lecieć dwie mile?

— Żeby to dwie! Ale cztery!

— Tembardziej, tembardziej. Nie, to się stać nie może i nie stanie się! Ciocia zawsze zapomina, że nie ma lat dwudziestu! Żałuję, że nie jestem Władysławą

tylko Władysławem, bo mógłbym zastąpić ciocię w tej pańszczyźnie.

— No, tak, zapewne, nie wypada. Choć to tam takie jeszcze dziecko. Ale nie wypada. Jeżeli będę bardzo zmęczona i nie będzie mi się chciało wyjść z łóżka...

Byłem pewien, że mię umyślnie uspakaja, a potem, gdy wszystko w domu spać będzie, zabierze mi Zosię i wywiezie cichaczem.

— Nie! — zawołałem. — Ciocia musi mi dać słowo! Ciocia musi powiedzieć: »Jak cię kocham, nie wyjadę jutro!«

Wykręcała się, dyplomatyzowała niezręcznie, w końcu jednak dała słowo i powiedziała: »Jak cię kocham!«

Zdawało mi się, żem wygrał

bitwę, żem moją inicyatywą, moją pracą, wyrobił sobie coś niezmiernie ważnego, uszczęśliwiającego; że mi coś drogiego powróconem zostało. Szukałem oczyma Zosi po salonie. Zbliżywszy się do niej, powiedziałem jej, że ją uwolniłem od jazdy tego dnia jeszcze, że jej zapewniłem sen długi po zmęczeniu.

Nie mogła zrozumieć. Gdy jej nareszcie wytłómaczyłem rzecz całą, okazała niezmierne zdziwienie. Jak się pokazało, ciotka Ludwika zaprosiła ją na dni kilka. Cóż się więc stało, że ją chciała zaraz odwozić?

O, ja wiedziałem, co się stało! Plany ciotki były w niebezpieczeństwie z powodu uroczego dziewczęcia, więc trzeba było wywieźć

je conajprędzej. Ale nic z tego nie będzie, ciociu! Zosia zostanie i nie pojedzie ani dziś, ani jutro.

Tak się też stało. Dnia następnego ciotka Ludwika dostała jednej z najcięższych swoich migren. Prosiła, by ją zostawiono samą w spokojności, która dla niej była lekarstwem, by nie zważano na to, że się u stołu nie ukaże, by się bawiono bez niej.

Bawiliśmy się, jak kazała, ja przynajmniej bawiłem się wybornie.

Pani ma może wspomnienia takich pogodnych, letnich dni, w których słońce, trawy, kwiaty, natura cała i ludzkość zdawały się sprzysiężone na to, by panią uczynić szczęśliwą? Nie? Nie ma pani takich wspomnień? Nie może

więc pani mieć pojęcia o tym jakimś stanie rozkosznej tymczasowości; o tem rzuceniu wiosła i puszczeniu się na spokojne, łagodnie kołyszące fale; o tem rozmarzeniu, o tem zapomnieniu jutra i wczoraj, o tem rozpłynięciu się w chwili obecnej...

Wcale nie zdawałem sobie sprawy, że to poczynająca się miłość; ani razu nie pomyślałem, że ta dziewica-dziecię mogła zostać moją żoną; wcale nie pamiętałem, że ja byłem człowiekiem zmęczonym i to zmęczenie czującym przedewszystkiem. Nie przykrawałem tych chwil, z Zosią spędzonych, do żadnych teoryi, do żadnych filozofii, do żadnych krytyk, do żadnych wyników dawniejszego doświadczenia... Ot,

poprostu, stałem się nagle dwudziestoletnim młodzieńcem i czułem, jak dwudziestoletni młodzieniec.

Przyszło to sobie najnaturalniej. Obudziłem się takim po owym wieczorze tańcującym. Opadły ze mnie wszelkie sceptycyzmy, wszelkie obawy, wszelka gorycz. Ramiona moje stały się nagle lekkie; byłbym przysiągł, że miałem u nich skrzydła. Przez cały tydzień, w którym ciotka migreny pozbyć się nie mogła, chodziłem z pannami na spacery, woziłem je łódką po stawie, grałem z niemi w rozmaite gry, tańcowałem przy dźwiękach fortepianu, namawiałem na wyprawy do lasu, na dalekie przejażdżki, deklamowałem...

Tak, pani, deklamowałem go-

dzinami całemi na werendzie, oświeconej tylko blaskiem księżyca. Pani nie wie zapewne, że natura dała mi pamięć doskonałą. Odgrzebałem w niej mnóstwo wierszy. Przykryte one były warstwami przeróżnych, złożonych później wrażeń, wypadków... Teraz wypłynęły nagle na wierzch zwycięsko, zdaje mi się, że zupełnie bez udziału mej woli. Podnosząc wzrok ku smugom księ-

życowych promieni, mówiłem mimowoli natchnionemi słowami naszych poetów.

Pani się uśmiecha, tak, wiem, byłem śmiesznym mazgajem, ale byłem takim z jakiegoś porywu silniejszego, niż wszelki takt, niż wszelkie przyzwyczajenia, niż wszelka krytyka.

Muszę powiedzieć, że panny były mną zachwycone. Jak jagody jednego grona trzymały się one zawsze razem i gdym deklamował, czułem te wszystkie oczy, jasne i ciemne, utkwione w mej twarzy. Zosia mówiła: »Jeszcze, jeszcze!« — a mnie się wydawało najnaturalniejszą rzeczą, że jej wola była uderzeniem, pod którem fale mej pamięci zakreślały szerokie kręgi, a z głębi owych fal wypływały coraz nowe, sądziłem, że zapomniane zupełnie, poezye.

W ogromnym parku ciotki bawiliśmy się w chowanego. Panny zostawały na werendzie, a ja biegłem uszczęśliwiony, rozbawiony i ukrywałem się w jednym z klombów. Panny rozbiegały się potem,

jak rój motyli, zaglądając po za szpalery, ciekawy wzrok posyłając po za rozsuwane drobnemi rączkami gałęzie. Oszukiwałem moje towarzyszki. Manewrowałem tak, by mię zawsze znalazła Zosia. Przed innemi zasłaniały mię pnie grubych drzew, ku czarnym, błyskającym radością oczom, wysuwałem się umyślnie. Raz ją namówiłem, gdy odkryła mię za szpalerem i srebrną kaskadą śmiechu mię przywitała, by stanęła cichutko koło mnie. Czy też nas znajdą? Bo ona jedna szukać umiała, inne miały chyba pozawiązywane oczy. Stanęła koło mnie, kładąc palec na ustach i zgarniając spódniczki, by z po za pnia nie wyglądały. Czułem jej ramię obok mego ramienia i

było mi tak dobrze, tak błogo, tak młodzieńczo, że pani, jeżeli podobnych wspomnień nie ma w swej pamięci... Ach! prawda, mówiła mi pani, że ich pani nie ma, więc wyobrazić sobie pani nie może... Zosia szeptała:

— Żeby tu była Józia, toby

mię zaraz znalazła. Pan wie... my mieszkamy o wiorstę jedna od drugiej i często się tak zdarza, że nie umówiwszy się wcale, wychodzimy z domu o jednej porze i nagle spotykamy się na zakręcie drogi...

— Więc czynami pań rządzi jednomyślność zupełna. A jednak jedna z pań musi być pod pantoflem drugiej. Niech pani chwilę pomyśli, a przyzna pani, że tak jest. Nie może być inaczej. Tam, gdzie jest wielkie zbliżenie się dwóch istot ludzkich, tam zawsze znajdzie się jedna wola silniejsza, niż druga. To się dzieje samo z siebie. Gdy chodzi o stanowczą decyzyę, gdy panie jesteście przeciwnych zdań, kto ustępuje?

— My jesteśmy jednego zda-

nia, ale Józia najczęściej robi to, co ja chcę.

— Więc pani umie chcieć silnie?

— O, umiem!

Mimowoli się uśmiechnąłem. Taka zabawna była ta dziecinna, malinowa buzia, mówiąca o silnych postanowieniach.

— Więc ta rączka — rzekłem, biorąc jej rękę — to nie aksamit, to żelazo? Ale gdzietam! To aksamit! Przecież czuję wybornie! Ciepła, miękka. Nie dziwię się, że panna Józefa daje się prowadzić, gdzie pani chce.

Odebrała mi rączkę. Tak, bo odebrała ją stanowczo i silnie, a nie wyrwała nerwowo i gorączkowo. Przytem jej oczy, z wesołych i dziecinnych, stały się nagle poważne.

— Nie, nie znajdą nas — rzekła — szukają na drugim końcu parku.

— Znajdą, znajdą! — mówiłem błagalnie, głosem pełnym skruchy.

W tej chwili usłyszeliśmy głosy naszych towarzyszek i mimowoli przycisnęliśmy się ku sobie. Jej oczy znowu nabrały wyrazu figlarnego.

— Zosiu, Zosiu! — rozległo się wołanie jednej z panien.

Cały ich rój biegł ku nam.

Wtedy, mimowoli, wcale nie pomyślawszy o tem, co czynię, opasałem ramieniem kibić Zosi, żeby ją mocniej przysunąć ku sobie, a tem samem ukryć lepiej przed wzrokiem towarzyszek. Przebiegły niedaleko naszego schronie-

nia, nie zobaczywszy nas. Wtedy ja spojrzałem w twarz Zosi. Była okryta szkarłatnym rumieńcem, w oku poczynał się rodzić wyraz obrażonej dumy; ramię moje opadło. Byłem sam bardzo zawstydzony i zmieszany.

— Mają przepaski na oczach — rzekła trochę drżącym głosem — albo my siedzieliśmy tu pod zaczarowanym kapeluszem, którego żadne oko ludzkie nie dostrzega.

Tak, pani, to był zaczarowany kapelusz miłości, zapału, rozmarzenia! Od tej cudnej postaci dziewicy-dziewczęcia, którą przed chwilą przyciągałem ku sobie, wiało ku mnie czarem wiosny i szałem młodości. Wziąłem znowu aksamitną rączkę i pędem, jakby uciekając od jakiegoś słowa, które

pragnęły wymówić usta moje, wraz z Zosią pobiegliśmy za towarzyszkami naszemi.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołała jedna z nich — pan Władysław z Zosią tańczą mazura po ścieżkach!

— Ta Zosia zawsze musi znaleźć zgubę! — zawołała druga. — Zosiu, Zosiu!

Z ustek Zosi znikł śmiech. Ciągniona przezemnie, biegnąca ku towarzyszkom, miała w spojrzeniu takie pomieszanie, a przytem taki jakiś smutek, żem sam stał się cały drżący. Czy się na mnie obraziła? Ciotka wmawiała mi, że Zosia była dzieckiem, a i mnie, z pierwszego wrażenia, otrzymanego przy obiedzie imieninowym, zostało uczucie, że miałem obok

siebie cudną, czarnooką dziewczynkę, która jeszcze kobietą być nie zaczęła. Wiedziałem, że miała lat ośmnaście, ale nie zeznawałem tego przed sobą, naprzód dlatego, że wyglądała jak podlotek, powtóre, żem ją odrazu, jak podlotka traktować się nauczył. Dopiero teraz, pod mojem spojrzeniem, przekształciła mi się naraz na dziewicę. Zbliżyła się do towarzyszek, przytuliła się do nich, jak gdyby chciała uciekać przedemną i cały już czas miała ramię jednej z nich pod swojem ramieniem. Zosiu, tyś już była kobietą, gdym pierwszy raz na ciebie spojrzał!

Mówiłem pani, żem był rozmarzony, jak dwudziestoletni młodzieniec. Teraz, jak chłopiec tego

wieku, poczułem się zalęknionym, niepewnym, drżącym, pragnącym przebłagać. Czułem się po prostu zgubionym. Tak, ja się zgubiłem w przekonaniu dobrze wychowanej panny, ufającej mi, jak dobrze wychowanemu mężczyźnie. Co ja zrobiłem? Skąd mi się wzięła ta śmiałość i ten pomysł? Ramię moje zasługiwało, by mi je obcięto, jak obcinano w średnich wiekach język zdrajcy. Jak ja śmiałem? Przecież byłem w istocie dobrze, to jest towarzysko wychowany i nie obejmowałem kibici panien, które spotykałem w salonie. Więc co się to stało i jak się stać mogło? Może to był bezwiedny odruch, będący w związku z wieczornemi tańcami, wśród których Żosia tak często fruwała

w mojem objęciu? Obraziłem Zosię, obraziłem ją śmiertelnie i teraz oczu nie śmiałem podnieść na dziewczynę, przytulającą się do ramienia towarzyszki, jak do tarczy, mającej ją zasłonić przed niebezpieczeństwem.

Gdym zmieszanie swoje opanować zdołał, chciałem powrócić do mojej roli, chciałem znowu bawić panny dowcipami, opowiadaniem, deklamacyą, ale Zosia była wciąż smutna i już nie usłyszałem jej głosu, mówiącego: »Jeszcze, jeszcze!« — chociaż wypowiadałem najpiękniejsze ustępy poetyczne. Wieczorem wprost nie śmiałem prosić jej o walca lub polkę. Usiadłem do fortepianu i grałem do tańca, taki w sobie czując niepokój, takie zawstydze-

nie, taką dziecinną rozpacz, jak gdybym był zgubiony na zawsze. Spostrzegłem, że Zosia, przetańczywszy walca, znikła z salonu. Szukano jej i oznajmiono towarzystwu, że była w pokoju ciotki Ludwiki, z którą rozmawiała.

Nazajutrz spałem do dziesiątej, gdyż niepokój trzymał mię bez snu aż do świtu, a potem moje lat dwadzieścia potrzebowały wynagrodzić to sobie.

Gdym się o wpół do jedenastej znalazł w jadalnym pokoju, ujrzałem przez okno zaprzężony powóz. Przyczepiano właśnie do niego walizę.

— Kto to wyjeżdża? — zapytałem służącego, który mi podawał herbatę.

— Jaśnie pani!

— Gdzie wyjeżdża?

— Odwozi panienkę do Brzozowej.

Wszystka krew z policzków zbiegła mi do serca, które w mojej dwudziestoletniej piersi młotem uderzało. Wypadłem do przedpokoju, na ganek... Stała tam ciotka Ludwika, roztargniona, spiesząca się, wydająca rozkazy, i Zosia w słomkowym kapeluszu, w szarej podróżnej sukience. Teraz, od serca, krew buchnęła mi do twarzy i tryskała z moich policzków.

— Ciocia wyjeżdża? — zawołałem. — Spałem tak długo... nie spodziewałem się... nie wiedziałem nic...

— Cóż chcesz? — rzekła ciotka. — Ledwo pozbyłam się mi-

greny, jeszcze jestem cała rozkołatana, a tu się temu postrzelonemu *Mli-mli* zachciewa koniecznie wracać do domu. Musimy wyjechać o tej porze, żebym mogła dziś jeszcze być tu z powrotem. Dom mam pełen gości i ciebie, Władeczku, przykro mi odjeżdżać. Ale przyrzekłam matce Zosi.

— Kiedyż to postanowienie zapadło? Skąd się ten projekt wziął tak prędko? Panna Zofia mówiła mi, że ma urlop nieograniczony.

— A no, masz! To tak z dziewczętami zawsze! Tobie mówi, że ma termin nieograniczony, a do mnie wczoraj wieczór przychodzi i zapewnia, że musi wracać do domu. Nawet takie *Mli-mli* ma swoją dyplomacyę.

— Muszę wracać — rzekła Zo-

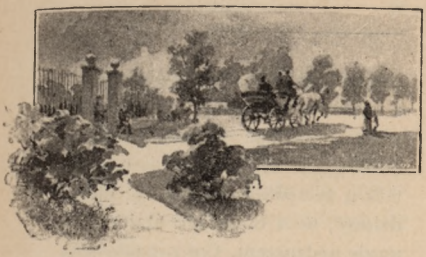

sia, spuszczając wzrok pod mojem badawczem spojrzeniem.

— Co panią zmusza? — mówiłem natarczywie z poczuciem, że przecie muszę bronić najdroższych moich interesów.

— Muszę, muszę! — powtarzała, spoglądając ku powozowi, jak ku desce zbawienia. — Powinnam była wyjechać wczoraj...

Uciekała przedemną, to było jasne. Sam się strąciłem z nieba, w którem przez dni kilka przebywałem. Byłem oszołomiony, nie

umiałem jeszcze zdać sobie sprawy z własnej porażki... Stałem na ganku, patrząc w osłupieniu na oddalający się powóz i czułem tylko, że zostałem obdarty, okradziony, że z bogatego stałem się nagle nędzarzem. Coś zagasło, coś się zapadło przedemną. Widziałem wyraźnie jakąś czarną przepaść... Jak lunatyk wróciłem do jadalnego pokoju i mieszałem łyżeczką herbatę w filiżance, zapatrzony w białość obrusa, sam nie wiedząc, co czynię i gdzie się znajduję. Nagle, obok mnie, ozwał się słodki i spokojny głos Amelki:

— Dzień dobry. Ja już wracam ze spaceru. Pan lubi paprocie?

Pokazywała mi wiązankę paproci.

— Lubię! — odrzekłem roztargniony.

— To roślina legendowa... — zaczęła, ale już jej nie słuchałem i nie wiem, co miała do powiedzenia na temat legendowej rośliny.

Po chwili zwróciłem się ku niej:

— Muszę panią prosić o małą przysługę — rzekłem spiesznie i niecierpliwie. — Ciotka Ludwika wyjechała tak nagle, że żegnając ją, nie miałem czasu jej powiedzieć, że i ja także natychmiast opuszczam Górzyska. Niech pani raczy odemnie...

— Co? pan już wyjeżdża? Pani Ludwice będzie bardzo przykro. Wszak pan nie odebrał żadnego telegramu?

— Owszem, odebrałem! — odparłem byle się jej zbyć i sam nie wiedząc, że kłamię.

Spokojne jej lazurowe oczy wyraziły niedowierzanie. Pożegnała się ze mną i odeszła obrażona.

A! tej zbyłem się przynajmniej nadobre!

Nie tknąwszy herbaty, kazałem spiesznie zaprzęgać, pakować rzeczy i wyjechałem.

Upłynęło parę tygodni, podczas których zdałem sobie nakoniec sprawę dokładnie z tego, co się ze mną działo. Poprostu, kochałem Zosię, i to już nie jak dziecinny chłopiec, ale jak mężczyzna, czujący po męsku.

To dziewczę, od którego mię ciotka odsunąć pragnęła, ja wybrałem sobie sam, bez żadnych

swatów, i chciałem je wziąć za żonę.

Zosia była uboga, miała liczne rodzeństwo, byłem dla niej partyą, świetną partyą. Chodziło tylko o zdobycie jej serca. Ale miłość zdobywa je przecie, a ja miałem w przeszłości mej dowody, że kochanym być mogę. Trzeba mi tylko było postarać się o przywiązanie dziewczyny. Pojechałem znowu do Górzysk. Zastałem ciotkę samą. Przyjęła mię, jak zbawcę, bo się nudziła okropnie, jak to sama przyznawała.

— Wiesz co? — zawołała po chwili, jakby uczyniła wielkie odkrycie — ja poślę Sochasię po Amelkę.

Śmiałem się z ciotki, wypraszałem się, manewrowałem, do-

pytywałem się o odległości, nareszcie jakoś, jak gdyby przypadkiem, wspomniałem o moim ostatnim pobycie w Górzyskach i o migrenach ciotki, wreszcie zapytałem:

— A podróż do Brzozowej nie zaszkodziła wtedy cioci?

— Ach! i owszem! Znowu ból głowy. Żałowałam, żem tę postrzeloną dziewczynę...

— Co? Nie dawała cioci spokoju?

— Ależ nie! Tylko żałowałam, żem ją tu przywoziła, bo danserek było dosyć.

— Siedzi teraz w domu?

— Wyjechała na Litwę. Umarła jej stryjenka, zostawiła małe dzieci i ona tam na parę miesięcy...

— A... będzie pielęgnować te sieroty?

— Tak, dopóki się nie znajdzie jaka nauczycielka z dobremi świadectwami.

Byłem zgnębiony. Na nic się nie zdał mój wyjazd do Górzysk. Czy ta dziewczyna co przeczuwała i uciekła odemnie, jak najdalej mogła?

Wróciłem do domu smutny bardzo, a ciągle o Zosi marzący. Kochane dziecię! Chciało sierotom oddać życie całe i rozpoczynało już tak wcześnie misyę swoją. Tę zakonniczkę, tę siostrę miłosierdzia ja koniecznie musiałem nauczyć miłości. Przebaczyć mi musi, pokochać mię musi, żoną moją zostać musi!

Ja sam wszakże tylko wiedzia-

łem o tych moich zamiarach. Kryłem się z niemi przed rodzicami, przed przyjaciółmi, jak ze zbrodnią. Nikt nie miał podejrzywać, że moją myślą jedyną była Zosia.

Boże Narodzenie spędzałem zawsze u rodziców. Przyjechałem do Gałęzina w wilię wilii i nie zastałem rodziców w domu. Pojechali byli na parę godzin do staruszki, krewnej naszej, którą moja matka otaczała tkliwą troskliwością. Byłem zziębnięty, a że w saloniku matki był kominek, więc tam oczekiwałem powrotu rodziców, dokładając drewek do ognia. Rozgrzawszy się, machinalnie zbliżyłem się do biurka matki. Pod bronzowym psem, którego pamiętałem jeszcze z czasów niemowlęctwa, leżał stos li-

stów. Począłem przeglądać adresy owych listów, poznając z pisma, czyją ręką położone były. Mój wzrok uderzyło pismo ciotki Lu-

dwiki. Innym razem pismo to nie byłoby bynajmniej obudziło mojej ciekawości. Poczciwa ciotka pisywała listy tak bezładne! Ale teraz myśl, która mnie dzień i

noc trzymała w swem posiadaniu, sprawiła, żem pożądał wiadomości z okolic Górzysk. Matka pozwalała mi czytywać wszystkie listy swoje; nie czując się więc bynajmniej niedyskretnym, wyciągnąłem list z koperty i czytałem:

»Kochana Maryniu!

»Jak się stary wróbel złapał na plewy, zaraz ci opowiem, ale mię taka niecierpliwość bierze, żebyś prędzej wszystko wiedziała, że mi się myśli plączą w głowie i słowa pod piórem. Otóż ja już dawno sobie ułożyłam, że ten cukierek Zosia Zbroińska zawróci głowę Władkowi, ale wiedziałam, że on taki podejrzliwy, jak lis, a boi się swatów, jak szczur trucizny. Więc mu ciągle chwaliłam tę nudną Amelkę Kierwiczównę: a to cnotliwa, a to święta, a to zacna, a to słodka, a to spokojna, a to tańczyć nie lubi i ma wstręt do balów i wieczorów. Takem mu tej Amelki dawała, jak mólom kamfory. Nareszcie na św. Ludwika przywiozłam sama

Zosię, kazałam ją do stołu prowadzić Bolkowi; Władka jej nawet nie przedstawiłam. Władkowi wpakowałam Amelkę, a sama siedziałam, jak na węglach, jak na szpilkach i śledziłam, jak to tam pójdzie. Władek trochę rozmawiał z Amelką, ale jak ta szczebiot-Zosia się roześmiała, jakby kto posypał srebrne paciorki na stół, jak ją Władek zobaczył, tak już oczu od niej nie oderwał. Chodził potem za nią, siedział przy niej, a ja wciąż go do Amelki ciągnęłam. Bo to mężczyźni, ty wiesz jakie to dzikie stworzenia. Ciągnij go w tył, to ci się będzie naprzód wyrywał, prowadź go naprzód, pójdzie w tył. Po wieczorze chciałam mu niby Zosię z przed nosa zabrać i odwieźć

ją do Brzozowej. On się nagle zrobił ogromnie czuły i troskliwy o moje zdrowie. *Nie pozwolił* mi zmęczonej i niewyspanej ruszać się z domu. Potem napadła na mnie migrena naprawdę, więc Władek miał swobodę. Sochasia mi mówi, że się bawił z Zosią, jak pierwszo-klasista. Radość aż mię dusiła, że to śliczne, miłe i dobre stworzenie podobało się Władkowi. Chwała Bogu! Połknął haczyk! O, połknął! We dwa tygodnie potem jest znowu w Górzyskach! I zachodzi, zajeżdża, krąży, aż nareszcie, niby tylko nawiasowo, zapytuje o Zosię. Niema jej. Mina Władeczka się przeciąga. No, niema!

»Naturalnie, że ona nic nie wie o moich projektach i zamysłach.

Uciekłoby to, spłoszone, jak sarna. A byłoby nienaturalne. Nikt nie wie, prócz mnie i ciebie, w tej chwili...«

Nie czytałem dalej. Dość mi było tego, czegom się dowiedział. List odłożyłem na miejsce i wróciłem do kominka, na którym drewka przygasały.

Zwierzenia ciotki uczyniły na mnie przykre wrażenie. Jakiś niesmak pozostał mi po nich. Byłem pewien, żem kochał Zosię w zupełnej tajemnicy, że mi niczyje oko nie zaglądało do kryjówki ze skarbem, a przekonałem się, że ciotka Ludwika mię śledziła, że Sochasia znosiła jej plotki, że rodzice moi mówili już z sobą o tem całemi godzinami. To wszystko ogromnie mi po-

psuło obraz uroczy, który nosiłem w duszy. Ogarnęła mię złość na ciotkę i na przeznaczenie. Więc ja byłem skazany na to, by mię śledzono, by mi się we wszystko wtrącano, bym sobie nie mógł nawet szczęścia zbudować własnemi rękami i bym je musiał z cudzych rąk przyjąć gotowe, wygodnie przysposobione i naturalnie, już przez to samo sprofanowane! Czemu ja się musiałem dowiedzieć, że spotkanie moje ukartowała ciotka, że umyślnie dała dziewczynę do prowadzenia Bolkowi, umyślnie mię nie prezentowała, umyślnie prześladowała mię Amelką, by mię tem pewniej oddać w moc Zosi? Czemuż mię wystrychnięto na łatwowiernego dudka, który był pe-

wien, że udany jego niepokój o zdrowie ciotki wzięty będzie za dobrą monetę? Zażartowano sobie ze mnie, jak z dzieciaka, a ja, jak dzieciak, dałem się złapać w pułapkę. Byłem poprostu zły na ciotkę Ludwikę. Złość ta z początku nie rozciągała się aż do Zosi. Cóż ona była winna? Winna była tyle, co ja. Wszak ciotka wyraźnie mówiła, że kochane dziecko nic nie wiedziało, a ja miałem dowody, jak tę sarenkę łatwo było spłoszyć, skorom ją spłoszył naprawdę.

Rodzice moi przyjechali w końcu. Byli uszczęśliwieni, żem o jeden dzień przyspieszył przyjazd na święta, otaczali mię tą miłością, malującą się w każdym kroku, w każdem spojrzeniu, która

mię zawsze wzruszała do głębi. Oboje mieli tym razem dla mnie jakieś względy nowe, jakieś słówka tkliwsze. Widocznie myśleli o szczęściu, które nosiłem w duszy, a poprzez płomienie kominka widzieli urocze, młode stworzenie, tulące się do piersi ich jedynaka. Tyle im przyniosłem boleści moją pierwszą miłością! Teraz zaczynali mieć nadzieję, że nie zrujnowała ona mego życia, że odbuduję sobie szczęście, że dom mój zaludni się rodziną. W ich oczach chwilami błyskała miłosna ciekawość. »Kiedyż to będzie? Czy prędko?«

Siedzieliśmy bardzo długo, gwarząc we troje przy kominku. Potem ojciec poszedł do siebie, a my rozmawialiśmy jeszcze z ma-

tką. Wreszcie odprowadziła mię do mego pokoju i ucałowała na dobranoc, jak wtedy, gdym jeszcze był pewien, że fałdy jej sukni są najlepszem schronieniem przed wszelkiem niebezpieczeństwem.

Gdym został sam, złość moja na ciotkę Ludwikę wróciła, a od niej cień leciuchny rozciągnął się aż ku Zosi. Ona z pewnością nie wiedziała nic, ale może rzecz cała została ukartowana między ciotką Ludwiką a panią Zbroińską? Może matka, żądna złowić bogatego męża dla córki, stroiła ją w tej myśli, może jej mówiła, by się starała podobać wszystkim, bowiem pamiętała, że pomiędzy tymi wszystkimi byłem ja? To mi jakoś zaczynało oszpecać moją

Zosię i co chwila musiałem sobie powtarzać, że ona przecie nic a nic winna nie była. Nikt jej nie oskarżał, a ja ją broniłem. Czepiałem się sercem tej obrony, a moja smutna mania krytykowania i doszukiwania się koniecznie plam na słońcu, wracała tymczasem, jak paroksyzm, którego zbliżanie się człowiek czuje, przed którym się broni, rozumiejąc wszakże, że obronić się nie zdoła. Kochałem Zosię, ale jeszcze przed kilkoma godzinami, z tym tajemniczym skarbem w piersi, byłem szczęśliwy, byłem młody, teraz zaś zaczynałem być rozdrażniony, niezadowolony, rozżalony na ciotkę Ludwikę, na matkę Zosi; zaczynałem czuć wszystkie moje dawne, zabliźnio-

ne, jak mi się zdawało, rany; zaczynałem zeznawać przed sobą, że pierwsza moja młodość minęła, a ja byłem już rozbitkiem, pragnącym uniknąć drugiego rozbicia i w lada chmurce, odbijającej się na fali, upatrującym skałę podwodną.

Dlaczego się mną tak opiekowano? Czy już byłem jednym z tych starych kawalerów, którzy sami ożenić się nie potrafią i trzeba im koniecznie jakiejś kuzynki, kutej baby, któraby ich poprowadziła aż do samego ołtarza, prawie bez ich wiedzy? Może to była intryga, uknuta przez ubogą rodzinę Zbroińskich, która z piękności dziewczyny chciała, dla siebie i dla niej, uczynić sobie wygodne schodki, po któ-

rych wygrzebaliby się wszyscy z biedy? A, tak, oni przecie czuli, że jabym nie zniósł, ażeby rodzina mojej żony była w niedostatku. No, niema co! Pomysł był wyśmienity! Moja poczciwa, nie daleko widząca ciotka, dała się namówić i zgodziła się na wszystko, co jej zręcznie podsunięto.

Chodziłem po pokoju i z pomocą samotności, z pomocą nocy, która wydłuża wszelkie cienie, torturowałem mój umysł, by z niego wydobywać coraz nowe podejrzenia. Może i Zosia? Ach, nie! Jestem pewien, że nie! Przecie ciotka pisała najwyraźniej! Cóż z tego, że pisała? Chciała poprostu dla przyszłej synowej usposobić dobrze rodziców przyszłego męża. Jakże ta swatka

mogła przyznać, że Zosia była także w zmowie i liczyła na swe wdzięki, jako na przynętę w celu zdobycia majątku, pięknej rezydencyi i męża w dodatku.

Tak mi było gorzko, że chciałbym był uciec od samego siebie. Wszak ja rzucałem kamienie na głowę dziewczyny, którą kochałem i choć wciąż jej broniłem przed samym sobą, wciąż także wyszukiwałem coraz to nowe oskarżenia. Przeczytanie listu ciotki wtrąciło mnie w dawną otchłań zwątpień, obaw i podejrzeń.

Nazajutrz, przy łamaniu się opłatkiem, dostrzegłem w oku matki coś, czego jej słowa dopowiedzieć mi nie śmiały. Zadrżałem z obawy, że ona mi coś wspomni o tem, co mię dusiło,

a co jej pewno przepełniało serce. Niechże przynajmniej mowy o tem nie będzie! Ach, Boże! Niechże ja przynajmniej sam przeżuwam gorycz moją!

W parę tygodni potem odebrałem list od ciotki Ludwiki, która na zimę przenosiła się zawsze do Warszawy. Ciotka prosiła mię, zaklinała i błagała, bym w karnawale przyjechał do stolicy, bym stanął u niej, gdzie mi zapewniała

zupełną swobodę. Miałem to uczynić w imię różnych zaklęć, których nie szczędziła. Mówiła w tonie pogrzebowym. Była pewna, że niewiele dni pozostawało jej do spędzenia na tej ziemi, że nie miała nikogo, że byłem jej ukochanem dzieckiem, bo miała dla mnie uczucia matki:

»Mój Władeczku — dodawała na zakończenie — jeżeli uczynisz to, o co cię proszę, w grobie jeszcze będę ci wdzięczna, a ty będziesz sobie mógł powiedzieć, żeś starej ciotce o lat kilka życie przedłużył«.

Niech pani admiruje logikę tego zakończenia!

Odpisałem, że przyjadę. Czułem, że tam, gdzieś na horyzoncie, widniała Zosia, że mi ją pod-

suną, że mi wszystko ułatwią, że mi przeżują strawę, którą połknąć miałem. Niech i tak będzie, kiedy nie może być inaczej. Przecie musiałem kiedyś zobaczyć Zosię, skoro, pomimo wszystko, ją kochałem. Ale będę się miał na baczności. O! będę się miał na takiej baczności, jak żóraw, stojący na warcie. Niechno mię tylko urazi jaki odcień! Niechno ja spostrzegę skazę najdrobniejszą! Jak żóraw poderwę się zaraz do lotu, a wtedy sama ciotka Ludwika mię nie dosięgnie.

Jednak byłem w gorączce i miejsca sobie znaleźć nie mogłem, dopókim nie siadł na sanie, które mię zawiozły na dworzec w Lublinie. Stamtąd pociągiem po-

spiesznym pojechałem do Warszawy.

Ciotka Ludwika zajmowała w stolicy piękny apartament. Pokój najmilszy, najwidniejszy, zastałem przygotowany dla siebie. I niech pani zgadnie, kogo na wstępie do mieszkania ciotki spotkałem? Oto Amelkę, spokojną, bezkrwistą Amelkę, na którą teraz bez dawnego wstrętu spojrzałem. Ciotka rzuciła się ku mnie ze łzami radości:

— Pan Bóg ci to wynagrodzi, moje dziecko, zobaczysz, że ci wynagrodzi!

— Aha! To znaczy — pomyślałem — że dziś zaraz po Zosię pójdzie telegram! Musieli tam już dla niej naszyć strojów za pożyczane pieniądze, licząc, że bogaty zięć...

Byłem kompletnie nieszczęśliwy z tym drugim człowiekiem, niemiłosiernym krytykiem, mieszkającym w mojej piersi, który mi wciąż poddawał myśli ironiczne i podejrzliwe. Miałem ochotę zaśmiać się głośno, ile razy spojrzałem na tę biedną Amelkę, na tego stracha na wróble, który miał zadanie podniesienia wdzięku i powabu innej dziewczyny. Żal mi było Amelki. Ciotka okrutnie się z nią obchodziła! Jakże tej biedaczce dawać taką niekorzystną rolę?

— Czy pan lubi winogrona — zapytywała mię właśnie, gdyż kończyliśmy obiad i podawano talerzyki do deseru.

Parę miesięcy temu byłbym jej odpowiedział opryskliwie, teraz,

gdym już znał wszystkie sznurki, za które ciotka Ludwika ciągnęła, by pajace jej tańcowały, jak im ona zagra, począłem z Amelką rozmawiać łagodnie i grzecznie. Zauważyłem, że miała wcale nie takie znowu płaskie włosy, jak mi się poprzednio wydawało, a oczy mogły być doprawdy niebem dla kogoś... Nie dla mnie, naturalnie, ale dla kogoś innego. W rozmowie swej wydawała się mieć za zadanie jedyne dowiedzieć się, co lubię, a czego nie lubię.

No, ślicznie! A nużby mi na myśl przyszło starać się o nią? Odrazuby wiedziała, czem mi może dogodzić, a czem rozdrażnić. Tak, tak, to mogła być doskonała żona i właśnie taka, jakiej poszukiwa-

łem przed poznaniem Zosi: spokojna, łagodna, nie jaskrawa, cicho mówiąca i cicho chodząca. Byłbym ją każdemu na żonę rekomendował. A że nudna? To uważałem za rzecz podrzędną, uczyniłem był bowiem przez ciąg mego życia spostrzeżenie, że żony wydają się mężom nudne, a zabawnemi są dla nich tylko żony innych. Więc to było tylko skróceniem sobie drogi. Nudna odrazu i koniec! A była nudna! Nawet to niebo, malujące się w jej oczach, było nudne! Takie apatyczne, takie limfatyczne niebo, gdzieby mnie karmiono samą kaszką na mleku, do tego jeszcze ocukrzoną!

Myślałem, rozmawiając z nią bardzo łagodnie i cierpliwie, że jejby trzeba męża starego. Gde-

rałby i mantyczył, a to wszystko spływałoby po niej, jak woda po piórach gęsi, nie czyniąc żadnego wrażenia, nie robiąc dziur w anemicznem, gutaperkowem niebie.

Dowiedziałem się od Amelki, że ciotka Ludwika zamierzała dać bal w karnawale, ale to bal, co się zowie: z kwiatami, które wprost z Nicei przybyć miały, z orkiestrą pierwszorzędną... Miał to być występ wielki i ciotka chciała, by o nim mówiła cała Warszawa.

— Ty nie wiesz, mój Władeczku — rzekła mi, gdym ją o bal zapytał — nie wiesz, jak w porę przyjechałeś. Bal w mieście, to nie taka trudna rzecz, byle płacić na wszystkie strony, ale będziesz mi służył radą. Mam mnóstwo wątpliwości...

Wpadliśmy tedy w epokę przedbalową. Musiałem naprzód wysłuchać teoryi filozoficznej.

— Widzisz — mówiła ciotka — ja chcę dać bal w początku, w samym początku karnawału, bo potem wszyscy są tak przesyceni, niepowysypiani, wymokli, że choć im dasz najdroższe i najsmaczniejsze jedzenie, choć udekorujesz salony najpyszniej, choć ich będziesz kąpał w winie, nie będą mieli siły odczuć tego wszystkiego. Oczy ich będą widzieć, uszy słyszeć, język smakować, ale to wszystko powierzchownie. To im nie dojdzie do duszy.

— A ciocia chce koniecznie dusz świeżych i nie przeżytych na swoim balu?

— Tak, tak. Sama pamiętam

z mojej młodości... Na początku karnawału byłam pełna zapału, serce mi biło, gdym wchodziła do oświeconego balowo salonu, omdlewałam na dźwięk przegrywki mazurowej... Potem nie czyniło to już na mnie wrażenia. Tańczyłam tak spokojnie, jak gdybym robiła pończochę lub rozmawiała z jakim starym nudziarzem.

— To jednak młodzi nudziarze robili na cioci wrażenie?

— Jużci... co wąsy czarne lub blond, to nie siwe! To dobre do parlamentu, do otwierania wystaw, do zagajania posiedzeń, do przemawiania na bankietach jubileuszowych, do przewodniczenia w obradach, nawet w albumie znakomitych ludzi, ale przyznasz, że dla młodej kobiety... Bo ty

może nie wierzysz, że ja niegdyś byłam młoda?

— Z niejakim wysiłkiem, ale wierzę.

— O, byłam młoda, moje dziecko!...

Tu ciocia Ludwika westchnęła, dając mi tem westchnieniem do myślenia, że w tej młodości działy się rzeczy, o których się nie śniło filozofom.

— Cóż robić? — dodała na pociechę sobie i mnie — jestem stara i już mi nawet zastrzyknięta krew świnek morskich nie pomoże! To gorsze, że my tu mamy młodzieży męskiej, jak błota, bo to lecą do Warszawy za posagami, jak ćmy za światłem, ale panien znajomych jakoś dużo wyjechało. Chcąc mieć pannę, trzeba zaraz mamie skła-

dać wizytę, dość, że ich jest mało. Muszę rozpisać listy na wieś.

— Jest! — pomyślałem. — Dowiem się zaraz, że bez Zosi się nie obejdzie, tak, jak w Górzyskach.

— Ciocia zawsze choruje na brak panien — rzekłem. — Pamięta ciocia na święty Ludwik...

— Wtedy, to mi się tylko zdawało, ale teraz, to naprawdę!

— Więc będziemy zaraz układać telegramy!

Ciotka była zachwycona.

— Niema to, jak męska głowa! — wołała. — Doskonała myśl! Telegramy! Nie wystawisz sobie, jak mię pisanie listów nudzi.

— Ciocia jednak je pisuje i wcale zabawne!

— Gdy już koniecznie muszę!

Ale pisanie listów zupełnie wychodzi z użycia i z mody. Zobaczysz, za lat sto, nawet papieru listowego fabrykować nie będą. Tylko kartki telegraficzne z po-

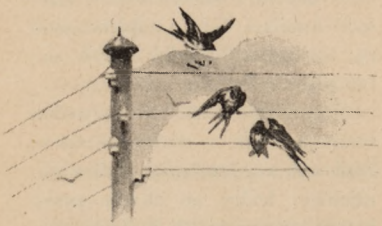

numerowanemi kratkami na każdy wyraz.

— Za lat sto? Może ciocia chce się założyć? Za lat sto telegramy będą uważane za anachronizm i umierającą instytucyę. Będziemy sobie przez telefony rozma-

wiać, zapraszać się, oświadczać się pannom, mówić tu, w Warszawie, mowy pogrzebowe nad trumną wielkich Polaków w Chicago...

— My tu rozmawiamy, a czas leci! Amelko, daj-no papieru, pióro, atrament. Władek niech zaraz pisze telegramy!

Ciotka podawała mi nazwiska różnych mam z córkami, ale o Zosi ani wspomnienia. Tylko rumieniec, który co chwila przebiegał przez zwiędłe policzki ciotki, dawał mi poznać, że imię Zosi miała ciągle na myśli, że jej ono paliło usta, na których zatrzymywała je jakaś niepojęta wstydliwość.

— A panna Zofia Zbroińska? — rzekłem.

— Prawda! Jaką ja mam głowę! Zapomniałam o Zosi!

Ach! ciociu, ciociu, jak ty kłamać umiałaś! Jak niewierna żona, którą nigdy nie byłaś!

— Piszże zaraz telegram do Zbroińskich!

— Niech ciocia dyktuje!

Napisaliśmy telegram naglący, proszący o natychmiastową odpowiedź.

Ciocia odetchnęła, oswobodzona.

Odpowiedź, którą odebraliśmy, brzmiała:

»Przyjadę z trzema córkami«.

Ciocia się skrzywiła.

— Ach! te starsze Zbroińskie! To takie kulfoniaste figury! To dobre na Górzyska, ale tu w Warszawie... No, cóż robić! Trzeba

to przełknąć i jeszcze udawać, że to smaczne!

Nazajutrz, po telegramie, list od pani Zbroińskiej. Pisała w nim, że starsze córki miały suknie balowe przeszłoroczne, ale Zosia, która nigdy jeszcze na balu nie była, nie miała nic, tylko tę swoją sukienkę koloru śmietanki, a i ta stara, kilka razy prana. Więc, co tu robić? Jedna z sąsiadek jechała do Warszawy. Ale Zosia nie miała gdzie się w Warszawie zatrzymać.

Ciotka Ludwika drżała gorączkowo.

— Telegram! — wołała — pisz zaraz telegram!

Błagaliśmy w telegramie o przyjazd Zosi natychmiastowy i o zatrzymanie się u nas.

— Żeby ta Zbroińska tylko czego nie pobałamuciła! — mówiła ciotka w niepokoju, którego ukryć nie miała siły. — Przywiezie mi te swoje starsze kulfony, a Zosię, która jest jeszcze jaka taka, zostawić gotowa w domu! Na jej miejscu, co prawda, to samobym zrobiła, bo toby trzeba te starsze conajprędzej za mąż powypychać... Zosia im okropnie szkodzi! Dzieciak to jeszcze, ale z dzieci robią się panny, jak z kijanek żaby! Prawda, Amelko?

— Prawda — potwierdziła Amelka.

— Ciociu droga — ozwałem się — żeby też ciocia wyrzekła się porównań, z historyi naturalnej poczerpniętych.

— Może ja co niewłaściwego powiedziałam? No, jeżeli się na mnie spuszczą, to ja Zosię ubiorę. Amelko, mnie się zdaje, że jej byłoby bardzo do twarzy w żółtem!

— To antypatyczny dla mnie kolor! — rzekłem.

— Przecież ja nie dla ciebie chcę ubrać Zosię, tylko, żeby mi zdobiła mój bal i żeby potem Kuryerek napisał...

— A, więc dla Kuryerka?

Znowu telegram od pani Zbroińskiej. Prosiła o wysłanie kogo na stacyę kolei nadwiślańskiej po Zosię.

— Chcesz ze mną jechać? — zapytała ciotka.

— Jeżeli ciocia każe?

— Ach, ty ze swoim stylem! Ja proszę, nie każę!

Czekałem na chwilę pojechania na kolej... Ale co ja pani będę opowiadał, jakie mną miotały uczucia. Czy pani oczekiwała kiedy w życiu kogoś, od kogo miała zależeć przyszłość pani, szczęście pani, ratunek pani? Tak? Zna pani tę gorączkę, ten niepokój, to natężenie nerwów, ten dreszcz niepewności, tę niecierpliwość? Zna pani to wszystko, więc pani łatwo sobie wystawi, co się ze mną działo.

Nareszcie kareta zajechała w bramę, ja ciotkę sprowadziłem ze schodów, pojechaliśmy.

Nigdy w życiu, jeżdżącemu często na tę kolej, nie stanęło mi w drodze tyle omnibusów, tyle tramwajów, tyle furgonów, naładowanych meblami, beczkami, skórami. Myślałem, że nie dojedziemy na czas. Ale byliśmy na stacyi jeszcze przed przyjściem pociągu.

— Żeby też młodemu człowiekowi nie było nawet przyszło na myśl wziąć dla panny choć jakiego takiego bukieciny! — rzekła pogardliwie ciotka. — Za moich czasów...

Zapragnąłem w istocie róż, fijołków, konwalii dla ukochanego zjawiska, które się za chwilę ukazać miało we drzwiach wagonu. Byłbym chciał kwiatami drogę

dla niej usypać! Rzekłem jednak ironicznie:

— Przecie ciocia mówiła, że to nie panna, tylko postrzelone *Mli-mli* i że ja nie mogę żadnej znaleść przyjemności...

— No tak, no tak! Ale ten dzieciak lubi kwiaty. Toby się kąpało w kwiatach!

Świst pary był mi uderzeniem w samo serce, które zaczęło mi ko-

łatać w piersi, jak gdybym był kandydatem do wstępnej klasy, prowadzonym do egzaminu. Dzwonki, biegania posługaczy, ustawianie się szeregów konduktorów omnibusowych z napisami hotelów na czapkach, ścisk, niepokój! Pociąg stanął zdyszany na stacyi.

Wcale sobie nie zdawałem sprawy, skąd Zosia wysiąść mogła, rozglądałem się po wagonach drugiej klasy, podczas gdy ciotka Ludwika, widocznie lepszem przeczuciem wiedziona, szukała wagonów klasy trzeciej. Gdym się obejrzał, ujrzałem moją różę, moją wiosnę w objęciach ciotki. Usłyszałem srebrny śmiech.

— Jaka pani dobra, że pani o mnie pomyślała! — mówiła Zo-

sia. — Mama nie chciała mię wziąć, a tu, jak na złość, ciągle miałam w uszach nutę walca. Żeby mię tylko na tym balu chcieli brać do tańca! Żebym tylko nie siedziała!

— Dlaczegobyś miała siedzieć?

— Bo tu mało kogo znam i będzie tyle starszych panien...

— Będziesz miała i znajomych. Bolek już sobie zęby ostrzy!

— Ach, prawda, pan Bolesław! Żeby mi on tylko tak nie dokuczał, bo ja się muszę wtedy śmiać, a mama mówi, że to nieprzyzwoicie...

— No, chodź, bobo!

Przysunąłem się z ukłonem. Zosia dopiero teraz mię spostrzegła. Nie uwierzy pani, co się z nią stało na mój widok. Aż mi jej

żal było. Cudna buzia, urobiona z pomieszania listków lilii i róż, stawała się co chwila, to samą lilią, to samą różą ponsową. Oczęta spuszczały się ku ziemi, więc, naprzekór, chciałem w nie zajrzeć, co Zosię jeszcze większem pomieszaniem napełniało. Takie to było urocze stworzenie w tej chwili! A mnie zawsze, z pierwszego wrażenia pozostały nałóg, kazał mieć ją za podlotka, którego rączkę bierze się bez wywołania skandalu, do którego mówi się: »Panno Zosiu« — i którego dogoniwszy przy ściganiu się na ścieżce ogrodowej, łapie się za rękaw, za szarfę, za długi warkocz...

Ciotka wydawała rozkazy, a Zosia stała obok mnie z zamarłym

śmiechem w alabastrowej szyjce i z temi oczętami, które zdawały się mieć ochotę zapłakać.

Wystawiam się na bardzo surowy sąd pani, ale tam, na stacyi, wśród tłumu publiczności, zapomniawszy o wszystkiem, miałem ochotę napływające łezki wypić ustami z czarnych oczu. Byłem szalony i kwita. Ale przecie ciotka Ludwika zrobiła z tem porządek.

— Władku! — zawołała — obróciłeś się widzę w słup soli, jak żona Lota!

Żem się jeszcze nie ruszał i ciągle podglądałem pod powieki czarnych oczu, więc mię szarpnęła za rękaw i w oburzeniu dodała szeptem:

— Mogłabym powiedzieć: w bałwan soli!

Wytrzeźwiłem się zupełnie pod tym zjadliwym zarzutem ciotki, wziąłem koszyczek, który Zosia trzymała w ręku i poszliśmy ku karecie. Panie siadły w głębi, ja z przodu. Patrząc na unikającą wytrwale mego wzroku Zosię, miałem uczucie, że wiozę coś drogiego, kruchego, o co drżałem, a co mi się mogło z rąk wyślizgnąć. Przy tym pierwszym

wybuchu radości mojej na widok Zosi, pozbyłem się był zupełnie chorobliwej manii krytykowania i szukania plam na słońcu. Byłem znowu bardzo młody i ufny, ale trwało to tylko chwil kilka. Bardzo prędko robak zwątpienia począł toczyć moje serce. Bo to robak!

Pani się uśmiecha? To doprawdy robak, który się naprzód czepia swej zdobyczy leciuchno, jakby ją tylko musnąwszy, a potem powoli zaczyna dzieło męczarni i zniszczenia. Walczyłem z sobą, miłość moja broniła się, miewała chwile zwycięzkie, ale ohydny, wielonogi robak budził się, a ja nie mogłem odrzucić go daleko od siebie. Ciotka przeznaczała mi Zosię, wiedziałem,

że to, co się działo wkoło mnie, mój pobyt w Warszawie, bal oczekiwany, sprowadzenie czarnookiej dziewczyny, wszystko to miało na celu moje małżeństwo, więc przez jakąś mimowolną reakcyę broniłem się od szczęścia, jak od złodzieja, a krytyka i nieufność były we mnie taką bolesną manią, jaką bywa zazdrość niektórych mężów, którzy wcale nie potrzebują faktów, ani nawet pozorów, by podejrzewać żonę. Podejrzliwość jest u nich samą naturą, samym rdzeniem ich miłości. Tak, niestety, było i ze mną.

Chodziło mi tedy o to przedewszystkiem, by Zosia nie sądziła przypadkiem, że się o nią staram. Kręciłem się więc koło Amelki. Byłem na usługi Amelki. Boże,

jak ta dziewczyna mnie nudziła! Ale ja przezwyciężałem wszystko, byle Zosia nie przypuściła, że miała we mnie konkurenta. Miało to dla niej swoją dobrą stronę. Nieśmiałość jej i nienaturalność względem mnie znikła. Była znowu tą dziewicą-dzieckiem, która mię tak zachwycała w Górzyskach. Spostrzegałem, że ciotka Ludwika nie wiedziała, co o tem wszystkiem sądzić. Widziałem czasem zdumienie w jej wzroku, gdy podnosiłem kłębuszki i szpulki, upuszczone przez Amelkę. Bo ta biedna Amelka miała zawsze w ręku jakiś kwadrat z grubego drutu, obciągnięty siatką, na której wykonywała igłą coś takiego, co miało być bardzo piękne i czemu

przyglądały się uważnie panie i panny.

Nie uwierzy pani, jak mi moja rola ciężyła, ale trwoga, by nie powiedziano, że już uczyniłem wybór, popychała mnie ciągle w sąsiedztwo tego kwadratu siatkowego, o którym wspomniałem.

Tymczasem Bolek jakoś przeczuł, że u ciotki Ludwiki może spotkać Zosię. Przyszedł raz, a potem zaczął przychodzić codziennie. Kręcił się koło Zosi, jak motyl koło róży.

Przepraszam panią za to odwieczne porównanie, ale wierniejszego nie mógłbym znaleźć. Miał talent ją zabawić, rozśmieszyć, a ja siedziałem koło Amelki, z oczami utkwionemi w oczka siatki, z zazdrością w duszy. Za-

czałem Zosię podejrzewać o kokieteryę. Tak się śmiać, jak ona, to kokieterya! Miała koło ustek małe, cudne dołeczki, takie *nids à baisers*, jak je nazywają Francuzi, i śmiała się dlatego tak często, by owe *nids à baisers* uwydatnić, a także, aby błyskać dwoma rzędami pereł, które miała w buzi.

Gdym raz wsiadł na tego konika, już na nim jechałem i jechałem. Kokietki, rozsądny i uczciwy mężczyzna nie powinien był brać za żonę, choćby ją kochał najszaleniej. Kokietki, ja przecie nie mogłem dawać za matkę moim dzieciom. Kokieterya, to zarodek, z którego wylęga się wiarołomstwo! Zosia była młodsza ode mnie o całe lat trzynaście, była też bardzo piękna. To sprawiało, że nie mogłem być wcale pewien przyszłości. Taka różnica wieku mogła nie szkodzić, ale gdyby Zosia była, naprzykład, taką Amelką. Żeby choć lubiła filogipiury! Bo przecie patrzenie ciągłe, przez dwanaście godzin na dobę, w bezmyślne oczka siatki, to hypnotyzuje do

spokojnego ogłupienia, to usypia nerwy i porywy, a gdy się za ideał ma wyszycie gwiazdy lub gzygzaka, to się wtedy o żadnych innych ideałach nie myśli. Taka wieczysta siatka, to obrona przeciwko kochankowi! Ale gdzietam! Zosia przyznawała najnaiwniej, że na filogipiury nie miała cierpliwości.

Nie była cierpliwa! A przecie cierpliwość powinna być samą istotą natury kobiecej. Kobieta niecierpliwa w domowem pożyciu, to poprostu wieczyste wezykatorye na skórze męża. Cierpliwość była też ostatnią z cnót, jakie sobie, przy najlepszych nawet chęciach, przypisać mogłem. Cóż to za pożycie dwojga ludzi niecierpliwych? Jaka w dzieciach,

w córkach niecierpliwość, spotęgowana podwójną dziedzicznością!

Ciotka zajmowała się gorączkowo toaletą balową Zosi. Ciągle słyszałem o przymierzaniu, o kwiatach, o wstążkach, o pantofelkach. Dobre to było ze strony ciotki, ale Zosia zanadto się tem cieszyła. Miała przy ustach pełne śmiechu dołeczki, gdy mówiła o swojej sukni, o przyszłym balu, o pierwszym mazurze, do którego przez Bolka zamówioną była.

Lista wad Zosi rosła. Zosia była młodszą ode mnie o lat trzynaście, była za piękna, miała wrodzoną kokieteryę, sama się przyznawała do niecierpliwości, lubiła strój i taniec! To znaczyło, że biorąc ją za żonę, wraz z nią wprowadziłbym sobie do domu

niepokój. Jabym pragnął odpoczywać, a ona pragnęłaby się męczyć, jabym pragnął domowego ogniska, a ona zabaw i wycieczek...

Na dobitkę przekonałem się, że Zosia była egzaltowana! Miałem odrazę do egzaltowanych kobiet. Uciekałem zawsze od wszelkich och! i ach! Z pomiędzy wszystkich niewiast, gatunek omdlewających był mi najmniej sympatyczny.

Pewnego dnia, przechodząc koło izdebki, gdzie mieszkał stróż domu z rodziną, słyszę jakieś utyskiwanie głośne i zdaje mi się, że poznaję głos Zosi.

Otwieram cicho drzwi i wchodzę. Staję przy progu. Stróża nie ma w izdebce, tylko stróżowa i

Zosia, mająca na ręku jakieś ohydne, trędowate niemowlę. I unosi się płaczliwie:

— Ach, Boże, biedactwo! Nieszczęśliwe maleństwo! Ależ to trzeba opatrywać, to trzeba kąpać! To się trzeba poradzić!

— Niema tu, w tym domu, doktora — rzekła stróżowa — a pójść do szpitala, to zaraz trza płacić.

Zosia zdejmowała dziecku kaftanik.

— To męczennica! — mówiła.— To trzeba maści cynkowej! Ja zaraz po maść cynkową pobiegnę. Trzeba zrobić opatrunek! Ach, nieszczęśliwa dziecina! Biedny aniołek!

Wyszedłem. Zosia była cudna z zasmuconemi, czarnemi oczę-

tami, pełnemi litości, ale ta chęć opatrywania obcego, szkaradnego dzieciaka, była egzaltacyą. A ten wykrzyknik ostatni: *Biedny aniołek!* To brzydactwo wcale do aniołka nie było podobne. Egzaltacya, egzaltacya kobieca! Jeżeli Zosia rozwodzi się tak nad każdem wstrętnem niemowlęciem, no, to dziękuję! Z domu gotowaby mi zrobić szpital! Biedny aniołek! To ona sama, Zosia, była biednym (nie mającym grosza posagu) aniołkiem! Aniołek ten miał skarby w spojrzeniu, w uśmiechu, w tych dołeczkach, do których pocałunki męskie tęsknić i wzdychać musiały, jak do rodzinnego gniazda, ale w tem właśnie leżało niebezpieczeństwo.

Więc jeszcze, do wad innych, przybyła mi egzaltacya.

Krytykowałem Zosię z nałogu i z tej podejrzliwości, na którą była chorą miłość moja, którą wlokła za sobą nieodstępnie, jak na ciężkie roboty skazany zbrodniarz wlecze kulę u nogi. O, ciotko Ludwiko! Coś ty uczyniła z uczucia mego tym jednym listem, tem jednem wyznaniem, że uczucie to było mi przez ciebie przeznaczonem i narzuconem!

Krytykowałem Zosię, ale czułem doskonale, jak ona była piękna z tą małą, niemowlęcą męczennicą na ręku. Jak była piękna moralnie! Przecież, gdyby młode dziewczęta nie miały anielskich serc w ciele anielskiem, toby już w żadne bezinteresowne współ-

czucie, w żadne cuda litości, wierzyć nie było można. Korzyłem się przed tym obrazem Zosi w nędznej izdebce stróża, klęczałem przed nim, a jednocześnie szatan krytyki szpony swoje zagłębiał mi w sercu. Może Zosia do tego stopnia doprowadzała kokieteryę, że się wprawiała w litość, jako w pozę. Ale nie, nie! Ona była litościwa z zapałem, bez premedytacyi. Więc po cóż ten szkaradny, pomarszczony i trędowaty szkielet nazywała aniołkiem? To już była prosta egzaltacya, jeżeli nie w czynie, to przynajmniej w słowach. Tegoby tylko brakowało, by Zosia była sentymentalna, egzaltowana i nienaturalna!

Te trzy wstrętne dla mnie wady wyrastałyby powoli dopóty przed

mojem okiem, aż pókiby mi zupełnie nie zakryły uroczej piękności Zosi. Kobieta sentymentalna, egzaltowana i nienaturalna musiałaby mi zbrzydnąć.

A Bolek, niegodziwiec, ciągle mi pod nosem z dziewczyną żartował, śmiał się, dogadywał jej, prześladował, kłócił się, zawierał przymierza, sprzeciwiał się, przystępował do zgody. Aż mię to wszystko we wnętrznościach świdrowało. A, kokietka, kokietka! Ona ani wiedziała... Ach, może wiedziała doskonale, na jakie mię kładła tortury! Wiedziała, czy ani się domyślała? Flirtowałem zajadle z Amelką. Raz nawet przeciąłem kilka oczek w siatce, co ona za dowcipny i oryginalny żart poczytała. Im bardziej pragnąłem

zbliżyć się do Zosi, tem mocniej przysuwałem się do Amelki. W mojej miłości tkwił jeszcze, oprócz ducha krytyki, duch przeciwieństwa. Kiedy mi chciano dać Zosię, ja udawałem, że biorę Amelkę. Na złość swatom!

Mówiłem sobie też, że nie mogę brać żony naoślep, że muszę najpierw dobrze zbadać moją przyszłą, dobrze się jej przyjrzeć, a najlepszym środkiem w tym razie jest obserwowanie z boku, udając, że się nie patrzy. I dalej udawałem wytrwale, że nie patrzę, choć widziałem wszystko.

Pewnego wieczora, gdyśmy po herbacie przeszli do salonu, a Bolek udawał skoczka na linie, chwiejąc się i szukając równowagi na szpagacie, leżącym spo-

kojnie na posadzce, Zosia zerwała się nagle, jak ptak, wzięła z konsoli muszlę i robiąc minę taką, jak gdyby przychodziła z prośbą, wyciągnęła muszlę ku ciotce Ludwice, mówiąc pokornie:

— Niech państwo raczą nie odmówić składki na biedne dziecko, potrzebujące kuracyi.

Ciotka, śmiejąc się, wydobyła kilka srebrnych pieniążków z portmonetki i rzuciła je w wysoką muszlę, by wywołać dźwięk głośniejszy. Bolek rzucił wielkiego miedziaka, utrzymując, że to było wszystko, co miał przy sobie — dyskę dla stróża. Amelka powoli i spokojnie zanurzyła rękę w kieszeni. Ja zaś przypomniałem sobie nagle anielskie dziewczę z trędowatem dzieckiem na ręku. Kry-

tyka we mnie ucichła, podejrzliwość się schowała, wyciągnąłem z pugilaresu papier sturublowy i włożyłem go w improwizowaną skarbonkę.

Zosia, zdumiona, podnosiła na mnie swoje cudne oczy. To spojrzenie zalęknionego, zmieszanego, a szczęśliwego dziecka, warte było miliona. Myślała z początku, żem sobie z niej zażartował. Ale się spotkała ze spojrzeniem poważnem.

— To nie może być! — mówiła — to zawiele! Pan się może omylił... To nie rubel, to sto rubli!

— Kuracya czasem więcej, niż sto rubli kosztuje — odparłem.

— Pan mi dał tyle! Ja się ani spodziewałam... Wszystko na tę

suknię wydałam i nie miałam za co lekarstwa kupić. Receptę już mam.

— Ubogich chorych na świecie dużo... Sto rubli, to kropla w morzu.

— O, pan jest dobry i litościwy! — zawołała z zapałem. — Ja odrazu czułam, że pan jest dobry!

Jakieś mię ogarnęło roztkliwienie niezmierne.

— Ja nie jestem dobry — mówiłem sobie w duchu — ale jestem szczęśliwy! Kochać taki kwiat, taką wiosnę, jak ty, aniele, to szczęście, to niebo!

Byłbym zapewne padł na kolana w tej chwili, gdyby nie obecność tylu osób. Z rozrzewnienia nagłego, a zalewającego mi duszę rozkoszą, otrzeźwiły

mię wybuchające koło mnie śmiechy.

Bolek, klęknąwszy na sznurze, zębami podnosił chustkę do nosa, ręce mając założone na plecach. A czynił to wszystko z takim wysiłkiem, z takiem drżeniem, jak gdyby sznur przeciągnięty był ze sto łokci nad ziemią, a on własne życie stawiał na kartę. Ciotka klaskała w dłonie. Bolek, ocierając czoło chustką, jak zmęczony bohater, kłaniał się wokoło, uśmiechając się, a udając, że mu oklaski przychodziły też i z paradyzu. Przykładał rękę do serca, jak wywoływany tenor, podnosząc oczy ku sufitowi salonu.

Ciotka poczęła obrywać kwiaty ze stojącego bukietu i rzucać je Bolkowi. On je zbierał, zbliżał do

ust, potem nagle, całe dwie garście róż i gardenij posypał u stóp Zosi. Ona, śmiejąc się, wyjęła miedziaka, danego jej przez Bolka.

— Oddaję dyskę dla stróża — rzekła — nie patrzę już na dyski i wierzę tylko sturublówkom!

Mnie znowu żmija podejrzliwości ukąsiła w samo serce.

— Nie ty jedna, nie ty jedna wierzysz sturublówkom, a pogardzasz dyskami! — myślałem z goryczą. — I gdybym teraz stanął przed tobą wraz z Bolkiem i kazał ci wybierać jednego z nas, tobyś mnie wybrała, choćby ci się może serce rwało do Bolka, bo ja jestem sturublówka, a on jest dyska!

Znowu poczęła mię dręczyć obawa, by ona z hojnego daru

mego nie wywnioskowała, że się o nią staram. Przysiadłem się natrętnie do Amelki, która podniosła jeden z leżących na ziemi kwiatów i zapytała mię conajspieszniej, czy lubię zapach gardenii?

Bolek tymczasem prosił o głos, chciał bowiem wypowiedzieć mowę w obronie dyski, a przeciwko wszechpotędze sturublówki, czyli plutokracyi.

Zosia odmówiła mu głosu.

— Nie pozwolę wobec siebie nic złego powiedzieć na ten papierek. Jest on poprostu śliczny! A gdy się zamieni w cienką bieliznę dla poranionego ciałka Franusi, w maść, w kąpiele, to z pięknego stanie się dobrym, co jest jeszcze więcej!

— Ja znam na świecie takie rzeczy — ozwał się Bolek, patrząc na Zosię — co się nie potrzebują z pięknych przerabiać na dobre. Są odrazu piękne i dobre. Można niemi i oko nacieszyć i do rany je przyłożyć.

— Zosiu! — zawołała nagle ciotka — a czy ty masz »sortie de bal?«

— Nie mam.

— Ale przecież to koniecznie potrzebne!

— Nie mam. Zawsze miałam dotąd suknie pod szyję...

— Trzeba coś obmyśleć, moja duszko! Nie możesz przecie ukazać się w salonie, jak gdybyś wychodziła z kąpieli. Dopiero, gdy przed tobą stanie danser... To do-

prawdy szczęście, że mi to przyszło na myśl!

— To już chyba, jak mama przyjedzie... Wydałam wszystkie pieniądze.

— To ja ci pożyczę!

— Nie, pani, nie, ja proszę, by dopiero, gdy mama przyjedzie...

— Albo sobie pożycz z tej sturublówki...

Zosia była oburzona.

— A niechże Bóg broni! Chorzy i ubodzy nie mogą czekać! Oni nie mają nic do pożyczania! Wolałabym nie być na balu!

— Egzaltowana! — szepnął we mnie żółciowy krytyk.

— Anielska dziewczyna — pomyślał człowiek kochający.

Mojej Zosieńce się zdawało, że miała skarb niewyczerpany w kolo-

rowym papierku, który obracała w ręku.

— Nie wiem, czy w aptece będą mieli tyle pieniędzy, żeby mi wydać resztę — mówiła. — Ale jak kupię to lekarstwo i wszystko, co dla dziecka potrzebne, to muszę się naradzić z panem, na jakie cele resztę pieniędzy użyjemy.

— Będę służył radą — odparłem.

Ach, naradzać się z nią i wszystko w życiu za wspólną czynić naradą! Wziąć tę rączkę pod ramię i iść razem i mówić o wszystkiem, co dwa życia złączone w jedno obchodzić może!

— Pani idzie błędną drogą! — ozwał się Bolek. — To do mnie zwrócić się trzeba po radę! Ja

znam lepiej Warszawę, aniżeli pan Władysław! Daję pani słowo, że pieniądze, chociażby największe, tak umieścić potrafię...

— Bolku, Bolku! — wołała ciotka — idź ty już sobie! Jutro znowu zaśpisz wykłady, a i ja tyle się dziś najeździłam i nachodziłam! Mój Władku, zrób ty już z tym Bolkiem porządek!

O, jabym był zrobił z nim porządek! Żeby to odemnie zależało, zamknąłbym na zawsze przed nim drzwi domu, w którym przebywała Zosia. Ten chłopiec zaczynał mie już tak drażnić, że mię często niecierpliwość dusiła. Zdawało się, że miał sobie za zadanie przerywać każdą rozmowę, rozpoczynającą się pomiędzy mną a Zosią, że się chciał klinem

wbijać między nas, że był dla mojej miłości tem, co natrętne sroki i kawki dla syberyjskich zbiegów. Nie mogłem się pozbyć jego krakania i nadlatywania. Zdawało mi się, że mię śledził i uwagę wszystkich chciał zwrócić na każdy krok mój, ku Zosi uczyniony. Przytem, ten chłopiec nic nie robił. Ciągle się wysługiwał ciotce, Amelce, Zosi, we wszystko się wtrącał, wszystko wiedział, o wszystkiem decydował. Był zarozumiały, jak prawdziwy niedouczek, a wścibski, jak nieproszony gość. Miałem go w końcu powyżej uszu! Ciotka niby to się na niego gniewała, że wykłady opuszcza, a dziesięć razy na dzień słyszałem: »To Bolek zrobi; to

trzeba będzie posłać Bolka; Bolek tu, Bolek tam!«

— Panie-byście się tu, jak widzę, wcale bez Bolka obejść nie mogły — rzekłem raz do Zosi.

— Usłużny jest — odparła Zosia — ale te uniwersytety, to nie mają sensu, że tak studentom próżnować pozwalają.

Spojrzałem zdziwiony. Taki rozsądek w tej cudnej główce?

— A jeszcze ich to uczy blagi! — dodała — bo pan Bolesław, a zapewne i wielu innych, nic nie robią, a udają, że pracują i rodziców swoich w błąd wprowadzają.

Byłbym ją uściskał za to, co powiedziała. Wprawdzie byłbym ją uściskał, gdyby nawet nic nie mówiła.

— A ja myślałem — rzekłem — że wszystko, co Bolek robi, wydaje się pani doskonałem.

— Niektóre rzeczy robi doskonale. Doskonale udaje skoczka na linie, doskonale tańczy, ale...

— Ale co?

— Pan dobrze rozumie.

— Nie, panno Zofio, nie rozumiem i proszę mi powiedzieć wyraźnie.

— Więc, skoro on jest na uniwersytecie i ma pole do pracy, powinienby tę pracę miłować, być szczęśliwym, że się kształcić może...

Patrzałem zdumiony. Malinowa buzia takie rozsądne rzeczy wygłaszać umiała!

— Może i pani lubi pracę? — zapytałem żartując.

— Lubię — odparła. — Nic nie robić, to męka! Chciałabym, żeby się ten bal już odbył, bo mi ciąży to, że ja tu nic nie robię!

— Poza! — krzyknął we mnie podejrzliwy krytyk. — Pozuje na osobę poważnie myślącą, na osobę pracowitą! Z pozerką nigdybym szczęśliwym być nie mógł! Ona i praca! Motyl w jarzmie!

— Cóż pani robić może? — spytałem.

Roześmiała się tym swoim śmiechem, mającym dźwięk srebra, a błysk wilgotnych pereł.

— Co ja robię? Starsze siostry mnie uczyły, teraz ja uczę młodsze rodzeństwo. Robię doskonale ser ze słodkiego mleka, chodzę do krów, czytam ojcu, bo go oczy

bolą. O, mam roboty przez cały dzień po uszy!

Nie wierzyłem. Sprawiało mi to ból, ale nie wierzyłem. Praca! Widział kto, by córka większego właściciela ziemskiego, choćby on tonął w długach, pracowała? Grzywkę zakręcać, bawić gości, malować na porcelanie i atłasie, grać na fortepianie, robić bukiety, czytać powieści, obmyślać toalety, dłubać robótki... A ta dziewczyna chciała mi wmówić, że ona pracowała. Ej, moja panno, za stary jestem wróbel, bym się dał złapać na te plewy! Wiem, wiem, skąd się wzięła ta blaga! W istocie, parę dni przedtem, z jakąś panią, która przyszła z wizytą do ciotki, stoczyliśmy byli, w obecności Zosi, walną bitwę

na słowa. Pani owa utrzymywała, że dzisiejsze panny więcej pracują, niż dawne, że jest postęp w tym kierunku, że się kształcą fachowo, że oczekiwanie męża przestaje być ich jedynem zajęciem. Ja utrzymywałem, że postępu niema, że panny zamożniejsze, które się kształciły na nauczycielki, nikogo nie uczą; że pszczolarki boją się pszczół; że ogrodniczki nie wychodzą z domu, żeby się nie opalić; że buchalterki nie zapisują wydatków; że te, które się uczyły kroju, sprowadzają suknie od Hersego.

Zosia słuchała mię. Śmiała się, utrzymując, że rzeczywiście zna taką pszczolarkę, którą brzęczenie pszczoły przeraża.

Teraz widziałem, że nauka nie

poszła w las. Sprytna panienka skorzystała z moich morałów i jeszcze ciepłe, podawała mi ich zastosowanie. Ona pracowała! Te delikatne, cienkie palce małej rączki pracowały. To rzeczywiście było niezrównane! A może ona nie kłamała? Może, wychowana w licznej a ubogiej rodzinie, miała w roboczym ulu swój wydział pracy? Sceptyk, zaczajony w mojej piersi, gniewał się na to przypuszczenie. Praca była komedyą kobiecą, pozą, blagą! Jedno w tej dziewczynie było prawdą, to jej prześliczne oczy czarne, jej płeć alabastrowa, jej buzia do pocałunków stworzona! To było prawdą, i ja, szukający w małżeństwie wypoczynku i spokoju, a, chcący dać matronę mojemu do-

mowi, a matkę wzorową moim dzieciom, pokochałem tego motyla, tę różę!...

Na parę dni przed balem, Zosieńka doznała poważnego zmartwienia. Odebrała list od Józi Nolczyńskiej, która szła zamąż. Pokazało się, że w ich umowie był punkt, że jeżeli jedna z nich pójdzie zamąż, umowa tem sa-

mem i cały zamiar, upadały. Zosi strasznie było przykro za te wszystkie sieroty, które nadal wystawione będą na okropne obchodzenie się z niemi niegodziwych kobiet i w ogóle osób niepowołanych.

Dokuczałem jej Józią Nolczyńską.

— Więc teraz — rzekłem jej — pani także może pójść zamąż, nie naruszywszy kontraktu.

— A, tak — odparła zasmucona — mogę pójść zamąż!

— I nawet sposobność jest doskonała. Karnawał się rozpoczyna, byle chcieć, można złapać męża.

— Jak się to łapie męża? — zapytała.

— Panny wiedzą to zwykle bez nauki, ale nauczyć mogę. Męża

łapie się, jak rybę. Zarzuca się wędkę, tylko na przynętę, zamiast robaka, kładzie się spojrzenia zalotne, uśmiechy zachęcające, udaną słodycz, łagodność, bezinteresowność, szlachetność, wzniosłe uczucia. Zaś łapany mąż powinien być grubą rybą, nie dyską, ale sturublówką.

Zamyśliła się. Oczęta jej czarne, jeszcze bardziej zczerniały, jak woda w miejscach głębokich. Patrzała przed siebie, milcząc.

— Przysiągłbym, że pani już układa plan kampanii — ozwałem się, czyniąc sobie temi słowy dojmującą przykrość.

Nie odpowiedziała. Zaczerwieniła się tylko, jak jutrzenka pogodnego dnia.

— Niech pani przyzna, niech

pani powie szczerze, o czem pani myśli! — nalegałem.

— Myślę i szukam w mojej pamięci... i nie znajduję... nie pamiętam żadnego takiego postępku, któryby mi mógł ściągnąć pogardę pana.

— Moją pogardę!

— Pan postępuje ze mną, jak z istotą, którą się pogardza.

Rzuciłem się ku niej pełen żalu, bólu i chęci przebłagania jej.

— Ja miałbym panią pogardzać? Panno Zofio, skąd pani taka myśl przyjść mogła? Na miłość Boską, pani mi czyni zarzut tak niesłuszny!... Jakże można przypuszczać coś podobnego? Na jakich faktach pani to opiera?

— Niema może dotykalnych faktów, ale ja to odczuwam w ka-

żdem słowie pana, w każdem spojrzeniu... Pan źle ze mną postępuje. Łamię sobie głowę... czy to miałoby być dlatego, że pan jest sturublówką, ja zaś jestem dyską, a może tylko groszem?

— Co pani mówi? co za niedorzeczności pani mówi? Jak pani może!

Wziąłem jej rączki i trząsłem niemi, jak gdybym ją chciał ocucić z niedorzecznego snu...

— Nie może być, żeby pani to myślała!

— Myślę to!

Chciałem zajrzeć w jej spuszczone oczy i pragnąłem zawołać, że ją kocham, że ją proszę, że ją błagam, by moją żoną została, ale poczułem niejasno, że takie nagłe oświadczenie się w tej chwili byłoby aktem człowieka kochającego, wyłudzonym na człowieku krytykującym.

Doszedłszy do stanowczego momentu, zawahałem się. Nie chciałem jeszcze stawiać wszystkiego na kartę. Miałem przecie czas! Niech ja jej się lepiej przyjrzę, niech ją lepiej poznam, niech miłość nie chwyta mnie podstępem w chwili, kiedy rozsądek mój śpi pod wpływem tego wielkiego narkotyku, jakim jest zakochanie się. Wysiłkiem woli zatrzymałem

wyznanie, cisnące mi się do ust i puściłem ręce Zosi.

Wszedł do pokoju kwadrat siatkowy, a za nim Amelka. Byłem im rad w tej chwili. Stawali oni po stronie człowieka niedowierzającego, a niedowierzanie, jak małe płomyczki rozniecającego się ognia, poczynało moją duszę na nowo obejmować. Odetchnąłem, jak gdybym był uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

W owych dniach, poprzedzających bal, Zosia stała mi się naraz jakąś smutną i zamyśloną. Nawet Bolek nie mógł jej rozbawić. Więc w duszy mówiłem do niej:

— Najdroższa, ukochana, czemu uśmiech znikł z twoich różanych ustek, czemu czarne oczy

czarniejszemi się stają? Czemu ty, dziecino, przypuszczasz, że ja tobą pogardzam? Czy to, żem ciebie raz przycisnął do mojej piersi, obraziło cię tak bardzo? Czy cię dotyka ton ironiczny, w który się ubiera moja nieszczęśliwa, chora na krytykę miłość? Dziecino moja! Ja ci to wszystko odpłacę wielkiem przywiązaniem, wielkiem zaufaniem w przyszłości; ja cię obsypię wszystkiem, co dać może jedno serce drugiemu i co dać może bogaty mężczyzna ubogiej dziewczynie! Poczekaj tylko chwilę jeszcze, aniele!

Tak mówiłem w duchu, a gdym się do niej zbliżał, stawałem się sztywny i drwiący przez samą obawę, by mi coś z moich myśli na usta nie wybiegło.

W wilię balu przyjechała jej matka i siostry. Podejrzliwość moja zwiększyła się jeszcze. Badałem ukradkiem spojrzenia pani Zbroińskiej, jej słowa i półsłówka, jej obejście się z córką, jej obejście się ze mną. Doszukiwałem się znaczenia najlżejszych odcieni. Byłem nieszczęśliwy, własne rany jątrzyłem, a przytem czułem, że kocham Zosieńkę coraz mocniej.

Raz jeszcze powtórzę pani, że tę nieszczęsną krytykę, będącą odwrotną stroną mojej miłości, mogę tylko porównać do zazdrości tego rodzaju, jak zazdrość nieszczęśliwego Otella. Zazdrość taka wzrasta wraz z potęgującą się miłością. Tak było i z moją podejrzliwością.

Nadszedł nareszcie dzień balu.

Ciotka, po obiedzie, kładła co chwila palec na ustach, strzegąc, by nikt jej pannom snu nie przerywał. Miały się wyspać, żeby ładnie potem wyglądały. Poczciwa ciotka czuła się na prawdę matką w takich chwilach. O swojem zmęczeniu nie myślała wcale, byle Amelka i Zosia dobrze się wydały. Ja byłem bardzo rozdrażniony, bardzo wyczerpany, bardzo zdenerwowany. Ta chora, ta kaleka miłość moja, odziana we włosienicę własnej krytyki, z raniącemi kajdanami ciągłej podejrzliwości, to była silna tortura, która mię zupełnie złamała.

Opróżnianie pokojów, przygotowania balowe, przejmowały mię jakąś pogardą dla uciech światowych, a pusty salon takie mi

czynił wrażenie, jakby to nie salon, lecz dusza moja opustoszała. Chodziłem z pokoju do pokoju, a ciotka, która lubiła ludowe porównania, nazywała mię Markiem, snującym się po piekle.

Ach! było piekło, ale we mnie! Tam, ta uśpiona dziewczyna, którą miałem ochotę porwać i skryć się z nią przed okiem ludzkiem; tu, ci lokaje, biegający po pokojach, ciotka, wydająca rozkazy, z włosami pozakręcanemi na czole, na szpilki podwójne, co jej dawało wyraz cioty, nie ciotki, okna pootwierane, jakby to był pogrzeb, nie bal. Brrr!... było mi zimno i nieznośnie!

— Bo ty sobie idź do jakich znajomych, do jakiej restauracyi! — mówiła ciotka.

Ale gdzie ja miałem pójść? Przecie tam, w małym pokoiku od korytarza, spało moje kochanie. Powieki miało pozapuszczane na czarne oczęta, a rzęsy, jak frendzelka, na policzkach... I buzia lekko otwarta na perłowych ząbkach... Czemu ja nie mogłem wejść tam cichutko, uklęknąć i patrzeć na kochane zjawisko? Wśród tego zimna i tej pustki, jaką wiało na mnie mieszkanie, przygotowujące się do balu, na tle tej rozpaczy, która mię ogarniała, obraz uśpionej Zosi coraz wyraźniej mi się przedstawiał i stawał się dla mnie upojeniem. Czułem, że potrzebowałem tylko dać folgę mej miłości, odrzucić na bok krytykę i przemówić do Zosi wyrazami, które mi serce,

nie żółć, na usta przyniesie, a dziewica-dziecię poda mi rączęta swoje i pozwoli mi się przygarnąć do piersi, jak wtedy, gdyśmy się w ogrodzie, w Górzyskach, bawili w chowanego. Gdyby była w tej chwili przy mnie, byłbym

u jej nóg wypowiedział wszystko, co czułem.

Ale nie było jej i zamiast niej zjawił się fryzyer. Dla tego urzędnika obudzić trzeba było panny, bo się spieszył i wymieniał nazwiska różnych znakomitych dam, które dziś jeszcze miał czesać. Niegodziwiec! Z jego przyczyny przerwano czarnooki sen mojej Zosieńki!

Szpilki podwójne znikły z czoła ciotki Ludwiki. Stała się ona bardzo pompatyczna, w morderowej sukni z żółtemi piórami. Przypominała mi rajskiego, wypchanego ptaka. Ja obok niej, ubrany balowo. Oboje, chodząc po salonie, oczekiwaliśmy gości. Nie zeznawałem wszakże wcale przed sobą w tej chwili, że salony miały się

zaroić wystrojonym tłumem. Oczekiwałem tylko jednej istoty, do jednej tylko tęskniłem, i to tak gorąco, że postanowiłem raz już skończyć z krytyką i niepewnością; raz już sięgnąć po szczęście, które za chwilę miało mi się w żółtej sukience ukazać; postanowiłem tego jeszcze wieczora oświadczyć się o Zosię.

Ciotka zapewniła mię, że panny były już ubrane, ale jeszcze do salonu wejść nie chciały. Zosia miała się ukazać wraz z matką i siostrami.

Pani Zbroińska, z córkami starszemi (były rzeczywiście nieładnie i źle ubrane), pierwsza z gości przyjechała. Jej skromna, stara, niemodna suknia, taki mundur, co to niektórym kobietom przez

dziesiątki lat służy na występy, zrobiła na mnie korzystne wrażenie. Lubię starsze kobiety, które się w porę wyrzekają wszelkich pretensyi. Była uczesana gładko, widocznie bez pomocy fryzyera. Za nią dwie panny (na ich widok ciotka mię trąciła łokciem, lekko ruszając ramionami), za pannami moja wiosna, moja róża!

Nie wiem, czy pani widziała kiedy coś tak uroczego, jak główka Zosi, wyglądająca z po za ramienia jednej z sióstr. Na alabastrowej szyjce aksamitka czarna i jeden żółty żonkil w kruczych włosach, spiętrzonych artystycznie. Ach! pani, widzę tę główkę dziś jeszcze, jakbym na nią patrzał. Stałem zachwycony, zapatrzony, nic prócz Zosi nie dostrze-

gający, z niczego innego nie zdający sobie sprawy, jak z jej obecności. Nagle szyjka jej wychyliła się wyraźniej i ujrzałem, że biust jej otoczony był obłokiem lekkiego tiulu, zwanego iluzyą. Widok tego obłoku, okrywającego alabastry ramion jej i piersi, był jakby szarpnięciem, budzącem we mnie ducha krytyki. Jakieś reminiscencye eterycznych, sentymentalnych bohaterek z początku wieku, jakiś powiew czułostkowego, romantycznego zepsucia, chwycił mnie za gardło. Te pretensyonalne fale gazy zepsuły mi wdzięk mojej Zosieńki. Była zmieszana, onieśmielona, ze wzrokiem rachującym tafle posadzki. Ja, ze zmarszczonem czołem, zbliżyłem się do niej.

W salonie było zimno, więc drżała pod falami iluzyi. Zaczęliśmy chodzić tam i napowrót, podczas gdy jej matka witała się z ciotką Ludwiką. Milczałem, tylko wzrok mój nie opuszczał ramion Zosi. Zdawało mi się, że to zimno, które ją dreszczem przenikało, pochodziło od mego natężonego spojrzenia. Poprawiała nerwowo zwoje iluzyi, jeden koniec tej mgły owijała sobie około obnażonych ramion, była nienaturalna, nie swobodna; pamiętała, że miała piersi alabastrowe, że miała stanik mocno wycięty, że miała obok siebie młodego człowieka. Jej dziecięca prostota znikła. Jak wyrafinowana kokietka układała ciągle fale tej nieszczęsnej iluzyi, tak, jak gdyby

chciała moją uwagę przykuć do tego, co iluzya źle osłaniała. Piersi jej oddychały spiesznie pod mgłą, udającą okrycie. Czyniła na mnie wrażenie ptaka, trzepoczącego się pod wzrokiem węża, a nie mającego siły do ucieczki. Policzki jej pałały, ręce drżały lekko, kroki były chwiejne i niepewne.

Wpadł do salonu Bolek i wnet przybiegł do Zosi, by jej przypomnieć, że z nim tańczy pierwszego mazura i drugiego kontredansa. Odszedłem na koniec salonu. Usiadłszy, nie spuszczałem wzroku z Zosi.

Goście przybywali jedni po drugich, salon się napełniał, ciotka, przechodząc, uczyniła mi gniewną wymówkę. Byłem prawie gospodarzem domu, a nie poczuwałem się do żadnych obowiązków. Wstałem, poszedłem za trenem ciotki i począłem witać, uśmiechać się, wprowadzać damy, jak figura woskowa, której werk nakręcono. Gdym już spełnił swą powinność, począłem wzrokiem szukać Zosi. Siedziała w gronie innych panien, przed nią zaś

stało dwóch młodych ludzi: Bolek i jakiś inny jeszcze. Ozwała się muzyka, Zosię porwano w wir tańca. Jam ciągle śledził żółtą sukienkę, ze zbyt mocno wyciętym stanikiem. Cierpiałem. To, czego stanik nie zakrywał, było bardzo piękne, szalenie ponętne, ale po co Zosia to zrobiła? Po co ten stanik, któremu brakowało dwa cale w koło i te zwoje iluzyi, udające, że braki zastąpić są w stanie? Już wolałem, że ten obłok zrzuciła z siebie i wspierając się na tancerzu, szczerze i odważnie ukazywała zbyt obnażone ramiona. Bolałem wszakże nad jej śmiałością. To już nie był ten zachwycający, ten śmiejący się podlotek z imienin ciotki Ludwiki, to była kobieta w pełni swych

czarów, pragnąca je wyzyskać i mieć je sobie wypłacone w pożądliwych spojrzeniach męskich. Była niezmiernie otoczona, rozrywana, wyróżniana. Zaćmiła wszystkie panny i panie, nie mogła się opędzić tym, ktrzy z nią tańczyć pragnęli, ani tym, którzy chcieli choćby słów kilka z nią zamienić.

Byłem smutny, rozżalony, gniewny. Zosia, zmęczona po tańcu bez wytchnienia, udrapowała się znowu w swój obłok iluzyi i usiadła w gabinecie ciotki, oświadczywszy, że wypocząć musi. Za nią pociągnęło grono młodzieży i w koło fotelu, na który padła zdyszana, utworzyło półkole. Ja wsparty o konsolę kominka, patrzałem i słuchałem z burzą za-

zdrości, bólu, gniewu i nieufności w duszy. Że ten rój wielbicieli ją otaczał, to była wina jej piękności i jej wdzięku, ale po co ona te zwoje iluzyi poprawiała ciągle na swem łonie, po co je nasuwała na ramiona w sposób taki zalotny? Po co ona sentymentalnie, nienaturalnie, owijała się w ten mglisty obłok, jak gdyby nie było dla ramion kobiecych uczciwych narzutek, dających prawdziwe okrycie i prawdziwe ogrzanie. Nie, nie, ja w przyszłej żonie potrzebowałem prawdy, potrzebowałem prostoty, potrzebowałem szczerości, a ta istota lubiła pozę, lubiła sentymentalne dekoracye, pretensyonalne toalety, lubiła nie to, co odziewa i grzeje, ale to, co stroi

i zwraca na zbyt uwydatnione wdzięki uwagę. Nie, nie! Ja z istotą bez prostoty, bez szczerości żyćbym nie mógł. Taka, coby w uścisku moim nie mogła zapomnieć o pozie, musiałaby mię wiecznie razić, wiecznie drażnić, wiecznie zasmucać. Nie mogę! Kocham, ale nie mogę posadzić przy mojem ognisku tej istoty, owiniętej w przezroczysty obłok i udającej, że on ją grzeje i że on ją zasłania. Pierwsza moja miłość była dla istoty niższej mi duchem, kłamliwej i próżnej.... Miłość tę okupiłem piekłem cierpienia, a miałem teraz znowu serce rzucać pod nogi tej nienaturalnej bogini w obłoku? Nie, stokroć nie! oderwę od niej duszę zbolałą, ale nieupokorzoną.

Ucieknę! Zapomnę! Niech się ta wczoraj jeszcze dziecię-dziewica, dziś kobieta przez zalotność, kształci w umiejętności zapalania namiętności w oku męskiem; niech przed gronem, które ją otacza w półkole, zaprawia się w rzucaniu sercem, jak piłką; niech pierwszą lekcyę odbywa w tryumfie swej piękności, wyłaniającej się ze zwojów iluzyi, jak bogini z piany morskiej powstająca.

To wszystko dobre dla kogoś, co ma jeszcze siłę cierpieć, ale ja już cierpiałem dosyć i mnie potrzeba anioła spokoju, nie anioła namiętności i szału; mnie potrzeba uczucia, nie sentymentalności, prostoty, nie sztuki, prawdy, nie udawania, szczerości, nie pozy!

Chciałbym był tę pretensyonalną iluzyę zedrzeć z ramion Zosi i powiedzieć: »Chodź za mną, usuń się od spojrzeń tych ludzi, co twoją piękność wzrokiem odzierają z ubrania! A kiedy ci zimno, okryj się naprawdę!« Ale mi przyszło na myśl, że strój był tylko zewnętrzną formą tych uczuć, które na formę wpływają. Jeżeli Zosia sentymentalnie, a zarazem zalotnie się ubierała, to dlatego, że była zalotną, pozującą, nienaturalną!

Cóż pani więcej powiem? Całą noc szalałem bólem, raniłem się ostrzem krytyki, zatruwałem się podejrzliwą nieufnością. Gdy ciotka z westchnieniem ulgi pożegnała ostatniego gościa, gdy panny poszły spać i wszystko uci-

chło, ja napisałem parę słów kłamliwych, mówiących o jakimś telegramie, o ważnym interesie, i bez pożegnania wyjechałem z Warszawy. Przy końcu karnawału dowiedziałem się, że Zosia została narzeczoną pana Uhorskiego.

Potem, przez lat kilka, straciłem z oczu tę, którą przez czas jakiś nazywałem moją różą, moją wiosną. Rok temu znalazłem się w Poznańskiem dla interesu i w w domu dawnego kolegi bawiłem parę tygodni. Tam spotkałem panią Zofię Uhorską, używającą w okolicy sławy najzacniejszej żony i matki. Poznałem w niej spoważniałą dziś i piękność swoją noszącą obojętnie, dawną moją Zosieńkę. Rozmawiałem z nią dłu-

go o stronach jej rodzinnych, o ciotce Ludwice, o naszym wspólnym pobycie w Górzyskach. Nazajutrz odwiedziłem ją w jej domu. Otoczona gronem dzieci, przy boku męża, patrzącego na nią z miłością, czyniła wrażenie kobiety, dla której obowiązek jest szczęściem. Po herbacie wieczornej, gdy dzieci spać poszły, a ona, jej mąż i ja znaleźliśmy się przy pomagających do zwierzeń płomieniach kominka, pani Zofia, podnosząc na mnie swoje cudne, czarne oczy, rzekła:

— Muszę pana zapytać... Ja to opowiadałam mężowi... Co to się stało wtedy, że pan tak nagle uciekł po balu? Ja teraz wyznam panu... mnie się zdawało, że pan... Ja też miałam dla pa-

na poczynające się uczucie... Witold to wie. Powiedziałam mu to zaraz wtedy, gdy się o mnie starać zaczynał.

Zwierzyłem jej historyę mojej chorobliwej podejrzliwości, doprowadzonej wreszcie do stanowczego paroksyzmu przez ten stanik zbyt wycięty, a szczególniej przez tę iluzyę, którą starała się naciągać na ramiona i piersi, tak, jakby okrywając je, chciała na nie zwrócić uwagę.

— Gdyby nie ta iluzya, byłbym na tym balu oświadczył się o rękę pani!

— Więc ten nędzny skrawek sprawił może, że nie jesteśmy mężem i żoną — rzekła pani Zofia z prostotą i spokojem. — Ale wie pan, jak to było? Wszystkie

pieniądze, jakie mi matka dała na strój balowy, wydane zostały na suknię. Podejrzywam nawet, że pani Ludwika coś dodać musiała. Potem, gdy przyjechała matka, kupiła mi tę parę łokci iluzyi przez oszczędność. To była najtańsza z okrywek. Odrazu mi się nie podobała i prosiłam o inną, ale na inną nie było pieniędzy. Stanik zbyt wycięty, był pomysłem pani Ludwiki. Ponieważ przy przymierzaniu nakazałam surowo szwaczce, by stanik dobrze zakrywał ramiona, więc pani Ludwika, w sekrecie wyciąć go kazała głębiej na godzinę przed balem. Ten stanik, to była moja rozpacz przez cały czas balu. Każde spojrzenie na moje zbyt obnażone ramiona wydawało mi się

chłostą. Naciągałam tę nieznośną, pretensyonalną iluzyą, jak mogłam, usiłowałam uczynić z niej coś, coby mię osłoniło, a byłam tak bez miary zawstydzona, że mię nawet taniec pocieszyć nie był w stanie. Najwięcej mię bolała niema nagana, którą czytałam w surowym wzroku pana. Pragnęłam się do pana zbliżyć, pragnęłam się wytłomaczyć, ale nie miałam na to odwagi...

— Ach! czemu pani tego nie uczyniła? — zawołałem z rozpaczą.

— Dziś tego nie żałuję bynajmniej. Jestem taką szczęśliwą żoną i matką! Ale wtedy, gdy pan tak nagle wyjechał... Teraz mogę już powiedzieć, że mię to przyprawiło o wielkie cierpienie...

Smutny był koniec mojej pierwszej, dziecinnej jeszcze trochę, miłości! Miałam wszakże odrazu dokładną intuicyę tego, że pan odjechał, by do mnie nie wrócić więcej. Czułam, że pan od biednego, postrzelonego *Mli-mli*, przez rozsądek oderwał skłaniające się trochę serce.

— Skłaniające się trochę? Ja panią kochałem, jak szalony!

— Jakie to dla mnie szczęście, rzekł pan Uhorski — iż ta szalona miłość była jednak tak krucha, że się rozbiła o iluzyę. Ja Zosię właśnie po raz pierwszy na tym balu ujrzałem. Odrazu sobie powiedziałem: »Ta, albo żadna!«, ale musiałem w przedsięwzięcie moje włożyć dużo miłości, dużo wytrwałości, dużo cierpliwości,

żeby z serca mego anioła wyrugować obraz pana...

*
* *

Nie będę taił przed panią, że moja podróż w Poznańskie zaznaczyła w mojem życiu nową epokę cierpienia. Człowiek nie łatwo zgadza się na myśl, że życie własne złamał dobrowolnie. Pani się uśmiecha? To zapłakać raczej nad tem można! Straciłem rodzącą się miłość Zosi, straciłem szczęście, które się samo w objęcia moje garnęło; przeszedłem obok zbawienia, które ku mnie wyciągało ręce, bojąc się go i unikając, jak gdyby było potępie-

niem!... O! to doprawdy nie śmieszne, raczej smutne, a nawet tragiczne!

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KRAKOWIE BIBLIOTEKA GŁÓWNA

468

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
Biblioteka Główna
271928

Biblioteka WSP Kielce
0039088